

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 3 (1419) 17 STYCZNIA 1988 R. CENA 20 ZŁ

ISSN 0137-8287

INDEKS 47977

W NUMERZE:

Duch prowadzi Jezusa ● Z kancelarii
Pierwszego Biskupa ● Widzialne źró-
dła zbawienia (IV) ● O losach war-
szawskich księgozbiorów ● „Rodzi-
na” – dzieciom



Rodzinne święto
— Dzień Babci
(21 stycznia)

fot. Jan Chojnowski

UROCZYSTOŚĆ ŚWIĘTEJ RODZINY



Duch Święty spełnia rolę wiodącą w dziejach Objawienia. On czuwa nad tworzącym się z Jego woli światem. On jest inspiratorem i głównym Autorem Biblii. On wreszcie niezmiernie aktywnie działa przy wejściu Syna Bożego na świat. Zesłany w Dniu Zielonych Świąt czuwać będzie nad Kościołem Chrystusa i każdym dzieckiem Boga, aż do końca dziejów.

Można więc i należy mówić o Duchu Świętym o wiele częściej niż się to obecnie praktykuje. Należy przede wszystkim wsłuchiwać się w Jego natchnienia, a nie próbować narzucać Mu własnej woli, jak to niestety wielu robi, ze szkodą dla Kościoła Chrystusowego i własnego zbawienia. Duch Święty mógłby zmusić człowieka do posłuszeństwa, ale nigdy tego nie czyni. Czekaj na przyzwolenie ludzkiego ducha. Im więcej ludzi zezwoli Duchowi Świętemu działać w głębinach umysłów i serc, tym szybciej prawdziwie Chrystusowe Królestwo znajdzie drogę do kolejnych rzesz mieszkańców ziemi. Natomiast materiału objawionego starczy na wiele rozważań o trzeciej Osobie Trójcy Przenajświętszej.

Niemal wszyscy chrześcijańscy teologowie zgodnie twierdzą, że najgłębszą tajemnicą swego wewnętrznego życia objawił Bóg wyraźnie w Nowym Testamencie. Uroczystą teofanią Boga, żyjącego w Osobach Ojca, Syna i Ducha Świętego oglądaliśmy wraz ze św. Janem Chrzcicielem podczas omawianego tydzień temu chrztu Chrystusa. Są jednak liczne miejsca w Starym Testamen-

tu już z małej litery słowem „tchnienie”. Niby drobiazg, ale jakże brzemienny w skutki. To już nie Duch Boży, ale zwykła siła woli, coś jakby narzędzie Boga w akcie stwórczym działa przekształcająco na materię. Czyż to nie jest „woda na młyn” tych, którzy postanowili pisać słowo „Duch” z małej litery, odmawiając osobowości Duchowi Bożemu, wbrew całej apostołskiej nauce? Jeśli w jednym miejscu zgodzimy się na ustępstwo wobec przeciwników Ducha Świętego, to istnieje realne niebezpieczeństwo uznania i w innych miejscach Ducha Bożego za przejaw energii Bożej, a nie Istoty będącej samym życiem. W tej sytuacji gołębnica z katedralnego obrazu powinna zrobić miejsce na przykład trąbie powietrznej. Na szczęście w tym samym wydaniu Biblii, ale już w Nowym Testamencie żadnego imienia trzeciej Osoby Boskiej nie zastąpiono pisanym z małej litery wyrazem „duch”. Niech Bóg broni wszystkich chrześcijan przed taką pokusą. Ograniczenie Ducha Świętego do roli robota, choćby nawet w rękach samego Boga, rujnowałoby ogromny obszar konstrukcji gmachu katolickiej wiary.

Św. Marek, chociaż tak oszczędny w słowach, powodowany zapewne natchnieniem Ducha Bożego, zaraz po zapowiedzi Jana Chrzciciela, że Chrystus będzie chrzczył Duchem Świętym, stwierdza: „I zaraz Duch prowadzi Go na pustynię” (1,12). Jest więc Duch Święty Osobą potężną, jak Ojciec i Syn Boży. Wszelkie zakusy pozbawienia Go osobowości są największym grzechem, nie-

Duch prowadził Jezusa

Przygotowując kolejne homilie publikowane w tym miejscu, czy też wygłaszane w świątyni, sięgam do rozlicznych opracowań mogących podpowiedzieć trafniejsze sformułowanie i naświetlenie problemu, który zamierzam poruszać. Źródłem natchnienia w doborze tematyki jest Ewangelia św. Marka. Tego bowiem Ewangelistę wybraliśmy na przewodnika naszych tegorocznych medytacji. Dzisiejszą medytację poświęcimy Duchowi Świętemu, co już po części sygnalizuje sam tytuł. Nauka o trzeciej Osobie Boskiej wraca regularnie na łamy prasy katolickiej i na ambony pod koniec maja lub na początku czerwca, gdy przychodzi czas obchodzenia pamiętki Zesłania Ducha Świętego. Dlaczego więc nie czekamy na Zielone Świąta?

Św. Marek już w pierwszych zdaniach swego Dzieła wprowadził jakby na scenę wszystkie trzy Boskie Osoby Trójcy Przenajświętszej, wymieniając

cie, które wolno odnieść do konkretnej Osoby Boskiej. Nam nie grozi niebezpieczeństwo upadku w bałwochwalstwo, jeśli wzorem Ojców przypiszemy jakieś dzieło Boże jednej z Boskich Osób. W każdym bowiem działaniu natura boska jest ta sama. Dawniejsze tłumaczenia Ksiąg Mojżeszowych zawierały już w opisie stworzenia Imię Ducha Świętego: „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. A ziemia była pustkowiem i bezładem, ciemność zalegała nad głębokością, a **Duch Boży** unosił się nad wodami”.

Ilustracją tego wspaniałego tekstu — obrazującego stan pierwotny materii, nad przekształceniem której Bóg pracował — jest charakterystyczny obraz w naszej katedrze, przy ulicy Szwoleżerów w Warszawie. Nad pustą ziemią i martwą wodą unosi się pod postacią gołębnicy Duch Święty. Niektóre nowsze tłumaczenia unikają już

dopuszczalnym „ani w tym, ani w przyszłym życiu”.

Nie tylko św. Marek tak mocno podkreśla rolę Ducha Świętego w ziemskim życiu Jezusa. Również św. Łukasz przekazuje, jako prawdę objawioną, udział Ducha Świętego w przygotowaniu ludzkiej natury Chrystusa. Anioł powiedział do Najświętszej Marii: „Duch Święty zstąpi na ciebie i moc Najwyższego okryje cię jak obłok. Dlatego też święte dziecko, które się narodzi, będzie nazwane Synem Bożym” (1,35). Z nauki apostołskiej wiemy, że Dawcą wszelkiego uświęcenia jest właśnie Duch Boży, który od Ojca pochodzi i wspiera Syna w działaniu na rzecz zbawienia świata. On rodzi w naszych sercach życie nadprzyrodzone, wysłużone przez Zbawiciela. Rodzi i pomnaża, bo tym Życiem jest przecież On sam — Duch Święty.

Patriarcha DYMITRIOS I w Polsce

Za zaproszenie Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego z pięciodniową wizytą do Polski przybył Patriarcha Ekumeniczny Arcybiskup Konstantynopola DYMITRIOS I.

W dniu 18 listopada 1987 r. o godz. 10.30 na lotnisku „Okęcie” Dostojnego Gościa i towarzyszących Mu Członków Świętego Synodu, Metropolitów i Biskupów Prawosławnych przywitani przedstawiciele Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego na czele z Metropolią Warszawską i całej Polski Bazylim, członkowie Polskiej Rady Ekumenicznej (wśród nich ze strony Kościoła Polskokatolickiego Pierwszy Biskup Tadeusz R. Majewski i Biskup Koadiutor doc. dr hab. Wiktor Wysoczański), przedstawiciele Władz Państwowych, wśród których był dr Władysław Loranc — kierownik Urzędu do Spraw Wyznań i przed-

Pierwszy Biskup Tadeusz R. Majewski oraz Biskup Koadiutor Wiktor Wysoczański spotkali się z przedstawicielami Patriarchy Dymitriososa I — metropolitami: Chryzostosem i Anastazym



stawiciele Kościoła Rzymskokatolickiego. Na czas pobytu Patriarchy w Polsce Władze Państwowe na rezydencję udostępniły pałacyk w Otwocku k. Warszawy. O godz. 16.15 Patriarcha DYMITRIOS I przyjął na rozmowę delegację Kościoła Polskokatolickiego w osobach: Pierwszy Biskup Tadeusz R. Majewski, Biskup Koadiutor doc. dr hab. Wiktor Wysoczański, Ks. mgr Ryszard Dąbrowski — Kanclerz Kurii Biskupiej. Pierwszy Biskup pokrótce scharakteryzował działalność duszpasterską Kościoła Polskokatolickiego w kraju i za granicą oraz działalność ekumeniczną. Wyraził radość z zakończenia prac Dialogu Prawosławno-Starokatolickiego, w którym przez wiele lat ze strony Kościoła Polskokatolickiego uczestniczyli: Pierwszy Biskup Tadeusz R. Majewski, Biskup doc.

dr hab. Wiktor Wysoczański, Biskup prof. Maksymilian Rode.

Pierwszy Biskup podziękował Patriarsze DYMITRIOSOWI I za tak serdeczne, czynne zaangażowanie się w sprawy Dialogu i za gościnność, z jaką zawsze spotykali się Biskupi polskokatolicki kiedykolwiek przebywali na terenie podległym jurysdykcji Patriarchy Konstantynopolitańskiego. Oto fragmenty ze słów Pierwszego Biskupa:

„Wasza Świątobliwość, Wasze Eminencje, Wasze Ekscelencje, Dostojni Bracia!

Przekazując pozdrowienie w Panu naszym, Jezusie Chrystusie, witam Waszą Świątobliwość w imieniu Kościoła Polskokatolickiego, Jego kanonicznej hierarchii, duchowieństwa i wiernych będących z nami w jed-



Patriarcha Dymitrios I spotkał się z przedstawicielami Polskiej Rady Ekumenicznej

ności wiary świętej. Z wielką wdzięcznością wspominamy przyjęcie przez Waszą Świątobliwość i Święty Synod w siedzibie Patriarchatu w Konstantynopolu w roku 1981 — biskupów polskokatolickich...



W katedrze prawosławnej pw. św. Magdaleny w Warszawie odbyła się uroczysta celebra pod przewodnictwem Patriarchy Dymitriososa I, kończąca Jego pobyt w Polsce

fol. Kazimierz Bałakier

dokończenie na str. 4

Doktorat honoris causa ChAT



Członkowie Senatu ChAT: rektor — ks. prof. dr hab. Jerzy Gryniakow, prorektor — bp doc. dr hab. Wiktor Wysoczański, ks. prof. dr hab. Witold Benedyktowicz, ks. prof. dr hab. Jan Niemczyk, ks. doc. dr Edward Bałakier

W dniu 19 listopada 1987 odbyła się w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej uroczystość nadania patriarsze Dymitriosowi I tytułu doktora honoris causa.

Uroczystość otworzył rektor ChAT — ks. prof. dr hab. Jerzy Gryniakow, który serdecznie powitał ekumenicznego patriarchę Konstantynopola i Nowego Rzymu — Dymitriosia I oraz towarzyszące mu osoby, a także

zwierzchników Kościołów chrześcijańskich kształcących swych studentów w ChAT, przedstawicieli Kościoła Rzymskokatolickiego, władz państwowych i przedstawicieli korpusu dyplomatycznego. Kościół Polskokatolicki reprezentowali: Pierwszy Biskup Tadeusz R. Majewski i bp doc. dr hab. Wiktor Wysoczański — prorektor ChAT oraz duchowieństwo warszawskie.

Rektor ChAT — ks. prof. dr hab. Jerzy Gryniakow — przedstawił krótko historię i charakter Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej. Następnie głos zabrał promotor — arcybp doc. dr hab. Sawa (Hrycuniak), który mówił o życiu i działalności ekumenicznego patriarchy Dymitriosia I. Mówiąc o zasługach patriarchy Dymitriosia I w zakresie rozwoju współpracy w łonie

prawosławia i pomiędzy Kościołami chrześcijańskimi, arcybp Sawa m.in. powiedział: „Wynika to z potrzeby czasu i Jego troski o rozwój współpracy w łonie wszechświatowego prawosławia, jak również pomiędzy Kościołami nieprawosławnymi, organizacjami religijnymi, a także pragnie zachowania pokoju wśród ludzkości (...). Był On inicjatorem dialogów teologicznych z

dokończenie ze str. 3

...W dniach od 12 do 18 października zgromadziliśmy się w KAWALA na sesji plenarnej Mieszanej Komisji Teologicznej. Mieszana Komisja Teologiczna, która pracowała w duchu szczerości i miłości, rozpatrywała z najwyższą kościelną konsekwencją i poczuciem odpowiedzialności przekazane problemy teologiczne, dostarczając przez opracowanie możliwych do przyjęcia wspólnych tekstów, które są podstawą przywrócenia wspólnoty kościelnej między Kościołami Prawosławnym i Starokatolickim. Jesteśmy pełni nadziei, że fakt szczęśliwego zakończenia Dialogu teologicznego stanie się silnym bodźcem w każdym kierunku tak, aby cały teologiczny wysiłek na rzecz jedności oceniany był w Kościołach w tym samym duchu miłości i wzajemnego zrozumienia, w którym prowadzony był Dialog...

...My, polskokatolicy w łączności z Międzynarodową Konferencją Biskupów Starokatolickich Unii Utrechckiej wyrażamy wdzięczność, szacunek i szczerą podziękowanie Waszej Świątobliwości za ojcowskie zaintereso-

wanie dla prac Mieszanej Komisji i całej drogi Dialogu...

...Dzień 18 października stał się historycznym momentem dla Kościoła Prawosławnego i Starokatolickiego. Oficjalny Dialog teologiczny prowadzony przez Kościół Prawosławny i Starokatolicki został uwieczniony pomyślnym zakończeniem, ale nasza misja jeszcze się nie wyczerpała. Do Dialogu wnieśliśmy naszą wspólną wiarę, jako cenny skarb. Wyszliśmy z Dialogu, jako bracia, jako misjonarze jedności i wielkiej nadziei, że nasza wspólnota znajdzie upragnione przez nas uwieńczenie przy wspólnym Stole Pańskim, a tym samym wypełnimy Arcykapłańską modlitwę Jezusa Chrystusa: „aby wszyscy byli jedno”. Na zakończenie pragnę także wyrazić radość z tego powodu, iż w dniach 2—6 listopada 1987 r. Wasza Świątobliwość i Członkowie Świętego Synodu przyjęli w Konstantynopolu delegację Międzynarodowej Konferencji Biskupów Starokatolickich Unii Utrechckiej z Arcybiskupem Utrechtu na czele, w gronie których był również reprezentant Kościoła Polskokatolickiego J.E. Biskup Wiktor Wysoczański”.

Delegacja Kościoła Polskokatolickiego wraz z serdecznością słów przekazała DYMITRIOSOWI I bukiet pięknych kwiatów i dwa pięcioramienne świeczniki z mosiądzu. DYMITRIOS I ze wzruszeniem przyjął słowa Pierwszego Biskupa, wyraził radość z ponownego spotkania z Biskupami polskokatolickimi, ale już na polskiej, gościnnej ziemi oraz z tego, że zakończył się Dialog Prawosławno-Starokatolicki. „A teraz — powiedział — niech nas prowadzi Pan w jedności i miłości”.

19 listopada o godz. 11.00 w siedzibie Metropolity Prawosławnego BAZYLEGO w Warszawie Patriarcha DYMITRIOS I spotkał się z przedstawicielami Polskiej Rady Ekumenicznej. W spotkaniu ze strony polskokatolickiej uczestniczyli: Pierwszy Biskup T. R. Majewski, Biskup Koadiutor doc. dr hab. Wiktor Wysoczański — Prezes Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików i Ks. mgr R. Dąbrowski — Kanclerz Kurii Biskupiej. W imieniu Polskiej Rady Ekumenicznej słowo do DYMITRIOSIA I skierował Prezes PRE Ks. Adam Kuczma. Spotkanie upłynęło w bardzo serdecznej braterskiej atmosferze.

Na zakończenie spotkania Patriarcha DYMITRIOS I wręczył członkom Polskiej Rady Ekumenicznej pamiątkowy medalion.

21 listopada o godz. 12.00 w Kurii Biskupiej Kościoła Polskokatolickiego Pierwszy Biskup Tadeusz R. Majewski w towarzystwie Biskupa Koadiutora Wiktor Wysoczańskiego, Kanclerza Kurii i duchowieństwa z Warszawy spotkał się z przedstawicielami Patriarchy DYMITRIOSIA I — metropolitami CHRYZOSTOMEM — Przewodniczącym Komisji do Spraw Kontaktów z Kościołami Chrześcijańskimi i ANASTAZYM — viceprzewodniczącym.

Pierwszy Biskup w serdecznych słowach powitał Gości i wspominał o swojej ostatniej wizycie w Konstantynopolu, o rozmowie z Patriarchą i „pocałunku pokoju”, jaki DYMITRIOS I przekazał Kościołowi Polskokatolickiemu, oraz wyraził swoją wdzięczność za doprowadzenie do finału Dialogu Starokatolicko-Prawosławnego, byśmy mogli przy Stole Pańskim stanąć jedno.

Pierwszy Biskup przedstawił Gościom działalność Kościoła

KRAJ

ŚWIAT

W Warszawie miało miejsce kilkudniowe sympozjum regionalne światowej Federacji Psychiatrycznej. Głównym tematem obrad były psychologiczne, społeczne i biologiczne aspekty alkoholizmu, narkomanii i innych uzależnień. Specjaliści wielu krajów świata wymienili także doświadczenia na temat zapobiegania, leczenia, rehabilitacji oraz polityki społecznej przy zwalczaniu tego rodzaju zjawisk patologii.

Ceny na Węgrzech w 1988 r.: według informacji przytoczonych przez „Magyar Hirlap” w roku 1988 niż podróżują w bratanków nośniki energii (węgiel, olej opałowy itp.), mają potanieć o 2% brykiety z trocin. Podróżują natomiast między innymi: pralki i kuchenki elektryczne o 11%, sprzęt oświetleniowy o 3,7%, o tyle samo podróżuje najprostszemu sprzętowi gospodarstwa domowego. Stają się za to o 1% rowery i motorowery.

Minister przemysłu wystąpił wobec grupy największych przedsiębiorstw zrzeszonych w tym pionie gospodarki z inicjatywą utworzenia Fundacji Wspomagania Rozwoju Przemysłu Farmaceutycznego, której celem ma być działalność gospodarcza polegająca na organizowaniu i finansowaniu przyspieszenia procesów wdrożeń technologii i produkcji nowych leków ze środków przez nie zgromadzonych. Środki te uzyskiwane byłyby z dobrowolnych wpłat złotówkowych i dewizowych, przekazywanych przez członków fundacji.

We francuskiej stoczni budowy okrętów wojennych w Brieste rozpoczęto budowę lotniskowca o napędzie atomowym „Charles de Gaulle”, który ma wejść w stan posiadania francuskiej marynarki wojennej do 1996 r. Na tej jednostce ma stacjonować 40 samolotów, w tym także myśliwce bombardujące uzbrojone w broń atomową. Jak pisze francuska agencja prasowa, rząd francuski nosi się z zamiarem budowy jeszcze jednego lotniskowca o napędzie atomowym.

Przed 60 laty rozpoczęła działalność w stolicy Wielkopolski trzecia po Warszawie i Krakowie Poznańska Rozgłoszenia Polskiego Radia.

W wywiadzie dla jugosłowiańskiego tygodnika NIN Ruj Miedziediew, radziecki historyk, którego książki nigdy nie były publikowane w ZSRR, mówi o klasie robotniczej: „Duża jej część nie jest zadowolona z reform Gorbaczowa i występuje przeciwko zmianom, gdyż jej zarobki nie zmniejszyły się, czasem nawet zmniejszyły, a żąda się, by pracować taniej, więcej, dokładniej. Oprócz tego czas Breżniewa wypaczony robotników. Co prawda otrzymali niewiele, ale przywykli pracować źle i mało. Wiele przedsięwzięć ogłoszonych i realizowanych przez rząd — walka z alkoholizmem, umacnianie dyscypliny, dążenie do poprawy jakości produkcji, podwyżki cen, do których musi dojść — nie są popularne wśród robotników. Innymi słowy, Gorbaczow musi wśród klasy robotniczej, wewnątrz niej samej znaleźć warstwę, grupę ludzi, którzy go poprą”.

Dyrektor Polskiej Agencji Artystycznej PAGART i dyrektor Japońskiej Fundacji Onerowej wędrowali w Tokio umowę o wystawieniu w październiku 1988 r. w warszawskim Teatrze Wielkim opery pt. „Kesa i Morito” japońskiego kompozytora Kama Ishira. Przygotowywana pod kierownictwem Roberta Satanowskiego warszawska premiera tego wybitnego dzieła japońskiej sztuki operowej będzie zarazem premiera europejską. Przewidywany jest m.in. udział 12 solistów japońskich.

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) wyraziła uznanie dla zdecydowanej większości rządów na świecie za niedopuszczenie do izolacji chorujących na AIDS. Dotychczas przeszło 150 krajów odnotowało u siebie oficjalnie ponad 68 tys. przypadków zachorowań na AIDS. Połowa chorych już zmarła.



Dużą popularnością wśród młodszych kinomanów cieszy się w ostatnich miesiącach film Waldemara Dzikiego „Cudowne dziecko”, zrealizowany we współpracy z kinematografią kanadyjską.



Niedawno zmarła gwiazda filmu niemieckiego, Pola Negri, wyrosła na podhój Europy i świata po zagranicy około 10 ról w filmach polskich. Na zdjęciu — z Charlie Chaplinem.



Ekumeniczny patriarcha Konstantynopola i Nowego Rzymu — Dymitrios I



Patriarcha Dymitrios I w czasie rozmowy z Pierwszym Biskupem Tadeuszem R. Majewskim

foto. K. Balakier

Kościołami: Rzymskokatolickim, Starokatolickim, Luteranckim, Reformowanym i Anglikańskim (...).

Po uroczystym wręczeniu dyplomu doktora honoris causa, głos zabrał ekumeniczny patriarcha Konstantynopola i Nowego Rzymu Dymitrios I, który wyrażając radość i podziękowanie za otrzymane wyróżnienie, m.in. powiedział: „(...) nigdy nie my-

ślałem, że przypadnie mi w udziale tak wielki zaszczyt, ponieważ jako duchowny nigdy nie myślałem o jakiegokolwiek nagrodzie. (...) w duchu prawdziwie ekumenicznym, jedno jest nasze życzenie — jako zwierzchnika prawosławia — które jest także życzeniem św. Pawła: Mówcie prawdę w miłości, wzrastajcie w Nim, który jest Głową — Chrystus (...).

Polskokatolickiego i prace ekumeniczne, zwłaszcza w Dialogu Prawosławno-Starokatolickim. Następnie Pierwszy Biskup w dowód zasług w pracach Dialogu odznaczył Metropolitów CHRYZOSTOMA i ATANAZEGO Orderem I Klasy Biskupa Fr. Hodura.

Metropolita CHRYZOSTOM odwzajemniając pozdrowienie, powiedział, że „jako delegacji Patriarchy DYMITRIOS I czujemy się zaszczytzeni wizytą u Władz Centralnych Kościoła Polskokatolickiego i odznaczeniem Orderem oraz cieszymy się, że Dialog Prawosławno-Starokatolicki dobiegł do końca; teraz będziemy czekać na jego owoce. My starsi trudziliśmy się przez całe lata nad realizacją Dialogu, teraz przekazujemy w ręce młodych kapłanów i lewitów, którzy powinniście go realizować” — tymi słowami zwrócił się do młodych kapłanów i kleryków uczestniczących w spotkaniu.

22 listopada 1987 r. o godz. 10.00 w katedrze prawosławnej pod wezwaniem Św. Magdaleny w Warszawie odbyła się uroczysta celebra pod przewodnictwem Patriarchy DYMITRIOS I, kończąca Jego pobyt w Polsce. W

uroczystości z naszego Kościoła wziął udział Pierwszy Biskup, Tadeusz R. Majewski, Ks. kanclerz R. Dąbrowski, Ks. prob. Jerzy Rybka.

O godz. 16.00 w Otwocku k. Warszawy uroczystą kolacją DYMITRIOS I żegnał zaproszonych gości z Kościołów i Władz Państwowych. W czasie bankietu słowo pożegnania od Kościoła Polskokatolickiego skierował do DYMITRIOS I Zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego Pierwszy Biskup Tadeusz R. MAJEWSKI, które zakończył: „Żegnając Waszą Świątobliwość w imieniu Kościoła Polskokatolickiego dziękujemy za słowa skierowane do nas i przyjmowanie nas z taką serdecznością. Jako skromny podarunek przekazujemy kasetę video, która upamiętnia częściowo pobyt Waszej Świątobliwości w Warszawie”.

O godz. 18.00 Patriarcha DYMITRIOS I wraz z towarzyszącymi osobami odleciał z lotniskiem „Okęcie” do Konstantynopola.

Ks. kanclerz R. DĄBROWSKI

W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE

W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE

Zstąpił do piekieł

Śmierć Zbawiciela była pieczęcią Jego człowieczeństwa. Jezus Chrystus — Syn Boga stał się rzeczywiście we wszystkim podobny do nas. We wszystkim, oprócz grzechu. Znamy relacje Jego ludzkich narodzin, Jego radości i smutków. Widzieliśmy, jak brał udział w ucztach weselnych i jak głodował na pustyni. Morze Jego cierpienie staraliśmy się zgłębić w kolejnych rozważaniach poświęconych zbawczej Ofierze. Jezus umarł tą samą śmiercią, która była, jest i będzie naturalnym końcem doczesnego życia każdej ludzkiej istoty. Daru nieśmiertelności, danego Adamowi i utraconego przez niego, Stwórca nie przywrócił dla żadnego z ludzi. Opisem ceremonii pogrzebowej, wykonywanej bardzo pośpiesznie, bo zbliżał się dzień Paschy, zakończyliśmy naszą relację o mecie Pańskiej.

Dzisiaj kolej na rozpoczęcie omawiania kolejnego artykułu wiary: „Zstąpił do piekieł”. Zdanie powyższe to tylko połowa piątego artykułu Składu Apostolskiego. Mówi ona o losie Chrystusa po śmierci, i to o losie w

krótkim okresie czasu liczonego w naszym ziemskim wymiarze. Jest to owe kilkadziesiąt godzin, łączących chwilę śmierci na krzyżu z chwilą Zmartwychwstania. To bardzo frapująca prawda wiary katolickiej. Do Składu Apostolskiego dostała się już w IV wieku. Wyraża powszechne przekonanie pierwotnego Kościoła Chrystusowego. Wiara ta nie opiera się na wyraźnych słowach Ewangelii. Pismo św. zawiera jednak wiele tekstów, z których ta prawda wynika jasno i niezbicie. Dlatego wszyscy Ojcowie Kościoła są zgodni w jej wyrażeniu i tłumaczeniu.

Mimo jasnej nauki chrześcijańskiej w tym względzie, pokutuje wśród katolików i nie tylko wśród nich, wiele nieporozumień i niezgodności w interpretacji i wyrażaniu tej prawdy. Co ona głosi? Ludzie bardzo często myślą wspomniane tu „Piekieła” z piekłem, czyli miejscem pobytu potępionych demonów. To po prostu pomyłka. Tak nie można ani myśleć, ani mówić! Skąd się bierze nieporozumienie? Autorzy biblijni używają tego samego słowa na oznaczenie różnych pojęć.

Raz piekło jest miejscem kary dla potępionych, to znowu miejscem pobytu ludzi sprawiedliwych, oczekujących po śmierci na dzieło zbawienia. Nasz język na oznaczenie miejsca oczekiwania używa wyrazu „otchłań”. Właśnie w otchłani przebywały dusze sprawiedliwych ludzi Starego Testamentu — m.in. Mojżesza i Eliasza, proroków i patriarchów, św. Józefa i św. Jana Chrzyciela. Była to jakby „Kraina cieni”, znana z wierzeń starożytnych Greków czy Egipcjan.

Tam w pierwszej kolejności pospieszył Duch Jezusa natychmiast po odłączeniu się od Ciała na krzyżu. Zbawiciel chciał osobiście zanieść wieść o dokonanym zbawieniu wszystkim sprawiedliwym, oczekującym chwili przejścia do chwały wiecznej i wiecznej szczęśliwości.

Biblia często nazywa ową otchłań „Ionom Abrahama”. Sam Pan Jezus w przypowieści o bogaczu i żebraku używa tego terminu. W przypowieści tej zakreślona jest doskonale przepaść dzieląca miejsca kary, czyli piekło, od miejsca spokoju otchłani,

którą Zbawiciel nazwał „Ionom Abrahama”. Zły bogacz znalazł się po śmierci w piekle, a „gdy umarł żebrak, aniołowie zanieśli go na Iono Abrahama”. Patriarcha Abraham był wzorem wiary dla wszystkich synów Narodu Wybranego. Bóg go kochał i przeznaczył do chwały. Każdy, kto potrafi naśladować tego wielkiego praocca narodu izraelskiego w w posłuszeństwie Bogu, zasługiwał na to, by po śmierci być blisko patriarchy Abrahama. Kiedy więc wyznajemy, że Chrystus udał się po śmierci do otchłani, mamy mieć na uwadze miejsce pobytu wszystkich sprawiedliwych, zmarłych przed śmiercią Zbawiciela. Ponieważ nie mieli oni możliwości przejść do nieba, byli jakby nadal pod władzą złego ducha, w jego niewoli. Z tej racji starożytni mogli podciągać obydwa miejsca pod jedno określenie — piekła — i tak słowo to znalazło się w wyznaniu wiary.

Wielu teologów mniemało, że Chrystus obwieścił w otchłani Odkupienie, ale do nieba zaprowadził dusze sprawiedliwych dopiero w dniu swego Wniebowstąpienia. Większość jednak przyznaje rację świętemu Grzegorzowi który uczy, że dusze sprawiedliwych ludzi natychmiast poczuły się w niebie, bo zobaczyły Boga. Oglądanie Boga jest źródłem niebiańskiego szczęścia, czyli istotą nieba. Szerzej o tych sprawach będzie mowa w eschatologii — czyli nauce o rzeczach ostatecznych.

Ks. A. BIELEC

Trudne pytania

Nie potrafią głośno krzyczeć

Nie krzyczą głośno. Najwyżej czasem napiszą list. Nieporadny. Litery skaczą po liniijkach, drżą jak ręka, która je pisała... „Złe mi obliczyli rentę...”. „Z czego zapłacić podwyższony czynsz?...”. „Ze szpitala wyrzucili, a przecież jestem chory...”.

Określenie liczby ludności w wieku poprodukcyjnym nie jest łatwe. Na ogół mówi się, że poziom jest 60. rok życia u kobiet i 65. rok u mężczyzn. Ale część zatrudnionych uzyskuje prawa emerytalne wcześniej.

W ogóle to jesteśmy społeczeństwem młodym, o korzystnej strukturze demograficznej. Starszych osób w ogólnej liczbie ludności — w porównaniu do innych krajów — mamy niedużo. Według prognoz w roku 1990 w Polsce osób w wieku poprodukcyjnym będzie 5052,6 tys. Na każde 100 osób w wieku produkcyjnym w mieście przypada ok. 30 osób w wieku emerytalnym, a na wsi 40. Za parę lat liczby te wzrosną.

Wiek starszy ciągnie za sobą: stopniowe pogarszanie się sytu-

acji materialnej, zwiększenie uzależnienia od rodziny, obniżanie się pozycji społecznej, pogorszenie stanu zdrowia i sprawności psychofizycznej.

Coraz częściej spotyka się starych samotnych ludzi odizolowanych od społeczeństwa, powoli zamierających w czterech ścianach — mieszkanie na wyższym piętrze bez windy uniemożliwia starym człowiekowi wychodzenie z domu. Przeróżające jest to, że rodziny nie pamiętają o swoich starcach, że rodzice, którzy wychowali i wykształcili dzieci, nie są przez nie otoczeni opieką i muszą liczyć na pomoc siostr PCK. W nowych osiedlach, gdzie ludzie słabo się znają i żyją własnym życiem, nie można liczyć na pomoc sąsiedzką, nawet najprostszą: zrobienie drobnych zakupów, zajrzenie do starego człowieka na pięć minut i sprawdzenie, czy nie jest chory.

Taka pomoc sąsiedzka jest nawet opłacana przez PCK, ale i tak nie można znaleźć chętnych do doglądania starego człowieka. Harcerze i organizacje mł-

dzieżowe zajmują się zupełnie innymi sprawami. W zorganizowanym społeczeństwie, w środku Europy, największym problemem organizacji roztaczającej opiekę nad niepełnosprawnymi ludźmi jest to, że kadra 20 tys. siostr wykrusza się systematycznie i że najsumienniejsze spośród nich to osoby po pięćdziesiątce. A liczba osób wymagających opieki stale rośnie.

Oblicza się, że w Polsce brak 64 tys. miejsc w domach pomocy społecznej. Kolejka oczekujących wydłuża się, a domów nie przybywa. Polska ma jeden z najniższych wskaźników: 17 miejsc w domach opieki na 10 tys. ludności (w NRD 50 miejsc na tę samą liczbę ludności). Są u nas trzy typy domów opieki społecznej: dla rencistów i ludzi w wieku podeszłym, dla przewlekłe chorych i tych z zaburzeniami psychicznymi. Przebywa w nich 40 tys. osób. Potrzeby na miejsca zaspokajane są w 40 procentach. Budynki są stare, wymagają generalnych remontów, zdarza się, że na skutek braku łóżek w domach tych umieszczają

trzeba psychicznie chorych razem z normalnymi.

Zupełnie osobnym zagadnieniem jest opieka medyczna nad ludźmi w wieku poprodukcyjnym. Zdarza się, że rodzina podryzuca chorego człowieka do szpitala, a potem lekarze mają kłopoty z wypisaniem go do domu. Najlepszym rozwiązaniem byłoby pawilony przyszpitalne z ograniczoną opieką lekarską, za to większą — średniego personelu, który przejąłby na siebie praktycznie opiekunstwo nad przewlekłe chorym starym człowiekiem i dla ludzi samotnych — domy opieki społecznej — nawet odpłatne pensjonaty, bo zdarzają się i rodziny, które mogą ponieść koszty, ale opieki stałej niesprawnemu człowiekowi zapewnić nie mogą.

Kryzys polski trwa. Jedni — energiczni, nie zawsze najuczciwsi — wyskakują ku górze w zarobkach i standardzie życia, inni — najsłabsi — spychani są w dół, ku granicy ubóstwa. Społeczeństwo nasze będzie się starzeć. Stała waloryzacja rent i emerytur nie dogoni procesów inflacyjnych. Znane i walcowane po wielokroć trudności z budową szpitali, pawilonów i domów pomocy — nie skończą się nagle, nic na to nie wskazuje. Będą się więc wśród nas obsuwali ku swojemu schyłkowi ludzie starzy, chorzy, niepełnosprawni. Będą żyli wśród nas, ludzi. Jesteśmy im coś winni. Więc nie pozwólmy, by...

Człowiek ma wyjątkowe względy u Stwórcy. Bóg upodobał sobie w nim, powołał więc go do istnienia na wzór i podobieństwo swoje, a także zapragnął podnieść go do godności dziecka swego i obdarzyć częścią życia Bożego. Upadek pierwszych ludzi nie tylko nie zniechęcił Stwórcy, ale jakby zmobilizował Go do okazania rodzajowi ludzkiemu jeszcze większej miłości. Posłał więc Bóg na ratunek swoim ziemskim dzieciom pierworodnego Syna, by Ten naprawił szkody wyrządzone przez grzech i pomógł nam odzyskać życie nadprzyrodzone oraz prawo do wiecznej szczęśliwości w niebie.

Jezus Chrystus wypełnił powierzone Mu zadanie składając zbawczą Ofiarę ze swego życia na ołtarzu krzyża. Cierpiał w ciełe, a więc w sposób widzialny, by zapewnić prawo do wieczności nie tylko dla ducha, ale również dla ciała. Bóg nigdy nie zapomniał, że jesteśmy ludźmi, czyli istotami duchowo-materialnymi. W nas i tylko w nas, to co niewidzialne i niematerialne jednoczy się z tym, co fizyczne. By dary wysłane na Golgocie rozprowadzić po całym świecie i umożliwić korzystanie z nich wszystkim pokoleniom, Zbawiciel ustanowił specjalne widzialne środki zbawienia i

pierwszych wieków, która oparta była na Objawieniu. Nie ma więc potrzeby kruszyć kopii o to, czy rzeczywiście ten czy ów sakrament pochodzi od Chrystusa. Pochodzą od Niego wszystkie, inaczej nie weszłyby w skład świętych czynności Kościoła. Nie można jednak podzielać poglądu tych teologów, którzy twierdzą, że Zbawiciel polecił Kościołowi ustanowienie potrzebnej ilości sakramentów. Kościół nigdy nie ośmielił się wprowadzonym przez siebie obrzędem nadać godność sakramentalną. On może tylko orzec, które ze świętych czynności sprawowanych od początku istnienia chrześcijaństwa mają sakramentalne znamiona. Kościół też ma prawo dawać Chrystusowym sakramentom odpowiednią oprawę. W ostatnim, następnym odcinku naszego cyklu prześledzimy, na podstawie Chrztu świętego, praktycznie to wszystko, co obecnie, ogólnie, piszemy o ustanowieniu, istocie i skutkach wszystkich świętych znaków.

Aby sakrament, czyli Chrystusowy znak zbawczy mógł udzielić nam pomnożenia czy też odrodzenia życia nadprzyrodzonego, potrzeba odpowiedniej dyspozycji osoby przyjmującej i udzielającej wykonania istotnych elementów znaku. Osoba,

Widzialne źródła zbawienia (IV)

powołał do bytu społeczność widzialną i nadprzyrodzoną zarazem, by tymi zbawczymi środkami dysponowała dla wszystkich, którzy zechcą z nich skorzystać. O żadnym przymusie nie może być mowy. Bóg szanuje wolność naszej woli nawet wówczas, gdy jej nadużyjemy.

Co to za społeczność i co to za środki? Społecznością jest Kościół, środkami zbawczymi święte czynności tegoż Kościoła, zwłaszcza sakramenty ustanowione przez Jezusa. O Kościele jako szafarzu darów Chrystusa już trochę mówiliśmy w poprzednim artykule. Pisaliśmy także o tym, że Bóg — mając na uwadze naturę człowieka — wiąże środki nadprzyrodzone z widzialnymi znakami, by upoważniony do ich sprawowania Kościół mógł przez nie udzielać nam nadprzyrodzonych darów. Jednak właściwym Dawcą nadprzyrodzonych darów jest Jezus Chrystus. Bez Jego współdziałania czynności Kościoła nie miałyby skutków nadprzyrodzonych. Tu tkwi źródło wątpliwości ludzi słabej wiary, którzy pytają: Czy rzeczywiście mają one skutki nadprzyrodzone? My uważamy, że mają, bo tak postanowił Jezus, Twórca znaków zbawienia.

Widzialne źródła nadprzyrodzonych darów ustanowione przez Jezusa Chrystusa, naszego Zbawiciela, nazywamy sakramentami. Katechizmy często definiują sakramenty jako skuteczne znaki łaski. Słowo „znak” ma tu podkreślać, że zastępuje on coś, co można poznać tylko za pośrednictwem, a nie bezpośrednio. Znaków jest dużo, ale nie wszystkie święte znaki są nośnikami łaski. Natomiast samo słowo „sakrament” oznacza tajemnicę. Szczególnie dużo tajemnic spotykamy w dziedzinie wiary. Wielu z nich nie potrafimy wyjaśnić do końca. Przyjmujemy je ze względu na powagę objawiającego Boga. Klasycznym przykładem są te tajemnice, które w działalności Kościoła noszą właśnie miano sakramentów.

Możemy racjonalnie uzasadnić (i to robimy) potrzebę powiązania darów duchowych z widzialnymi znakami, ale pewność, że takie właśnie powiązanie istnieje uzyskujemy wyłącznie przez wiarę. Dla kogoś, kto nie ma wiary, czynności sakramentalne Kościoła będą tylko mniej lub bardziej udanym obrzędem, obrazem bez treści. Z człowiekiem, który nie wierzy w Chrystusa dyskusja na temat sakramentów nie miałaby najmniejszego sensu. Jest prawdą wiary, że wszystkie sakramenty ustanowił Jezus Chrystus. Jeśli jednak zaczniemy szukać w Ewangeliach historycznych przekazów na ten temat, to możemy być w kłopotcie. Jest tam mowa tylko o dwóch, ogólniej o trzech sakramentach. A skąd wzięła się reszta?

Szukać jej musimy w innych Pismach Nowego Testamentu, a nawet w Tradycji apostoelskiej. Stąd niektórzy bracia, ewangelicy, utrzymują, że są tylko dwa prawdziwie Chrystusowe sakramenty. Pismo święte nie podało również liczby sakramentów, chociaż mówi o licznych świętych czynnościach, które noszą znamiona sakramentów. Cyfrę siedem ustalił Kościół powołując się na praktykę

która przyjmuje sakrament musi być przygotowana do otrzymania daru Bożego i pragnąć wszystkich skutków sakramentalnych. Przyjmowanie świętych znaków bez należytej intencji lub przekazywanie ich komuś „na siłę”, jest świętokradztwem (choć nie wyzwała się wówczas strumień darów sakramentalnych).

Szafarzem sakramentu musi być zawsze upoważniona do jego sprawowania osoba. Na przykład Eucharystii nie może sprawować ktoś, kto nie otrzymał święceń kapłańskich. Aby mógł zaistnieć sakrament, szafarz musi wypełnić wolę Chrystusa, określającego materię i formę sakramentalną. Materią jest jakiś przedmiot lub gest, którego Chrystus kazał użyć: chleb i woda przy Eucharystii czy włożenie rąk przy Bierzmowaniu. Formą zaś są słowa najczęściej określające rodzaj łaski sakramentalnej. Również słowa pochodzą od Chrystusa lub z Tradycji apostoelskiej. Ani na moment nie wolno nam zapominać, że przy ważnie sprawowanym sakramencie głównym szafarzem jest Jezus Chrystus, pozostający w sposób nadprzyrodzony, duchowo i sakramentalnie, w swoim Kościele. W Eucharystii sam Bóg staje się Pokarmem dającym żywot wieczny. Jakież to ludzkie i boskie zarazem! Proste i tajemnicze, zrozumiałe i przerastające wszelkie pojęcie! „Wiarą ukorzyż trzeba zmysły i rozum swój, bo tu już nie ma chleba, to Bóg, to Jezus mój”.

Kiedy Chrystus zapowiadał ustanowienie Eucharystii, mówił do rodaków: „Ja jestem chlebem życia, który zstąpił z nieba. Kto je ten chleb, żyć będzie na wieki. A chlebem, który Ja dam, jest moje Ciało ofiarowane za życie świata (...) Zaprawdę powiadam wam, jeśli nie będziecie jedli Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie. Kto pożywa moje Ciało i pije moją Krew, ma życie wieczne, a Ja go wskrzeszę w dzień ostateczny. Bo moje Ciało jest prawdziwym pokarmem, a Krew moja jest prawdziwym napojem. Kto spożywa moje Ciało i pije moją Krew, pozostaje we Mnie, a Ja w nim” (J 6, 51—56).

Przytoczyłem powyższy tekst na obronę realizmu sakramentalnych znaków pielęgnowanych w Kościele przez wieki. Krytycy twierdzą, że nie należy trzymać się litery Objawienia, lecz jej ducha. To prawda. Są jednak wypowiedzi, których nie można rozumieć przenośnie. To dotyczy materii sakramentów — znaków czerpanych na rozkaz Chrystusa z otaczającego nas świata, tak potrzebnych nam do życia, jak chleb i woda. Rodakom Zbawiciela przytoczona wyżej wypowiedź Chrystusa wydała się zbyt twarda. Rezygnując z okazanej chęci spróbowania anielskiego chleba, odchodzili. Chrystus ich nie zatrzymał. Nie wołał: Czekajcie! Zle mnie zrozumieliście! Mówiłem obrazowo! Nie. Jezus rzeczywiście zapowiadał rozdanie swego Ciała na pokarm dla tych, którzy chcą żyć wiecznie. Jeśli Kościół chce pozostać Chrystusowym, musi zachować znaki sakramentalne.

A.B.

STYCZEŃ

N	17	ŚW. RODZINY Rocz. wyzwolenia Warszawy
P	18	Małgorzaty Piotra
W	19	Henryka Marty
Ś	20	Sebastiana Fabiana
C	21	Agnieszki Jarosława
P	22	Wincentego Anastazego
S	23	Rajmunda Karola

18 STYCZNIA

Rozpoczyna się Tydzień Modlitwy o Jedność Chrzecijan. Wszyscy modlimy się wspólnie o zjednoczenie chrześcijan.

21 STYCZNIA

Święto jedyne w roku — Dzień Babci. Jest to święto matek naszych matek, a więc — jak to mówią Francuzi — Święto Dużej Mamy.

17 STYCZNIA

Pamiętna data dla wszystkich Polaków — rocznica wyzwolenia stolicy. Przed 43 laty Warszawa była jednym wielkim cmentarzyskiem ludzi i domów. Wiele wysiłku włożyło całe społeczeństwo w odbudowę stolicy. Dziś Warszawa jest pięknym i nowoczesnym miastem.

„RODZINA”
tygodnikiem
każdej
rodziny

Już niedługo
szkolne ferie
zimowe.
Czy zapewniłeś
należyty
wypoczynek
swoim dzieciom?

"Verba volant, scripta manent"...

Jak mówi znana łacińska maksyma „Verba volant, scripta manent” — „słowo uleci, lecz pismo zostanie”. Zostanie? Czy naprawdę zostanie?...

Oto z okazji styczniowej warszawskiej rocznicy przedstawiamy garść wspomnień o tragicznych, wojennych, powstaniowych i powstaniowych losach kilku wielkich warszawskich księgozbiorów: Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, Biblioteki Narodowej i Biblioteki Publicznej. Wybraliśmy tych kilka przykładów jako najbardziej charakterystycznych, ale podobne były losy wszystkich prawie pozostałych warszawskich bibliotek, księgarń, liczących wspinałych zbiorów prywatnych, jak np. Juliusza Gomułickiego, Karola Irzykowskiego, Antoniego Nowaczyńskiego, Ludwika Solskiego, Tadeusza Kotarbińskiego i wielu, wielu innych.

Autorzy naszych wspomnień to w tym wypadku Tadeusz Makowiecki, historyk literatury i sztuki, wykładowca na tajnym UW, jeden z głównych organizatorów akcji ochrony i ewakuacji zbiorów BUW, i Bogdan Korzeniewski, teatrolog, krytyk teatralny, historyk teatru, reżyser, profesor warszawskiej PWST.

Oto więc kilka słów o losach książek, pism i notatek, o tym, jak słowa starej maksymy straciły znaczenie wobec ogromu nienawiści...

O losach księgozbiorów warszawskich

Z dokumentów: Fragment układu o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie, dotyczący zabezpieczenia mienia i ewakuacji dóbr kultury; Ożarów, 2 października 1944:

10. Żądana przez dowództwo niemieckie ewakuacja miasta Warszawy z ludności cywilnej zostanie przeprowadzona w czasie i w sposób oszczędzający ludności zbędnych cierpień. Umożliwi się ewakuację przedmiotów posiadających wartość artystyczną, kulturalną i kościelną. Dowództwo niemieckie dołoży starań, by zabezpieczyć pozostałe w mieście mienie publiczne i prywatne. Szczegóły ewakuacji uregulowane będą osobnym porozumieniem”.

W punkcie 10 układu strona niemiecka zobowiązała się do umożliwienia ewakuacji z miasta dóbr kultury oraz zabezpieczenia pozostałego w mieście mienia publicznego i prywatnego, a więc również prywatnych zbiorów. Ten punkt układu kapitulacyjnego stworzył przesłanki formalne dla wysiłku muzealników, bibliotekarzy i



Plac Zamkowy. Ruiny Zamku i kolumny Zygmunta



Stare Miasto, ulica Brzozowa



Plac Krasiańskich

archiwistów ratowania zbiorów, wyrażającego się przede wszystkim w tzw. akcji pruszkowskiej. Jej ograniczone efekty i możliwości wynikały z ustawicznego gwałcenia przez stronę niemiecką ducha i litery układu — zarówno utrudniania i ograniczania działalności ratunkowej, jak też i wywiezienia do Niemiec znacznej części zbiorów ocalonych z Warszawy. „Mienie publiczne i prywatne” pozostałe w mieście padło ofiarą zorganizowanego rabunku i planowej eksterminacji.

Z dokumentów: Biuletyn Informacyjny” nr 105, 18 grudnia 1944. Po ostatniej akcji podpalania, która w listopadzie przybrała charakter masowy, w początku grudnia można stopień zniszczenia stolicy oceniać na 90%. (...) Wśród ruin niewielka garstka polskich specjalistów stara się z dobytku kulturalnego stolicy uratować to, co jeszcze się da. O ile idzie o biblioteki to wiadomo, że wbrew umowie o zaprzestaniu działań wojennych jeszcze w październiku spalili Niemcy Bibliotekę Krasieńskich wraz z bezcennymi rękopisami Biblioteki Załuskich, Archiwum Akt Nowych i Bibliotekę Tyszkiewiczów na ul. Litewskiej. Ponieważ nawet z tych bibliotek, które częściowo ocalały (Biblioteka Narodowa, Biblioteka Uniwersytecka, Biblioteka Zamoyskich), Niemcy nie pozwalają wywieźć wszystkiego, trzeba się było z musu ograniczyć do wywiezienia względnie zabezpieczenia rzeczy jedynie najcenniejszych (...)

Z dokumentów: „Kurier Powszechny” nr 55, 13 stycznia 1945, Kraków:

„Mimo, że od zakończenia walk w Warszawie upłynęło już z górą 3 miesiące, Niemcy niszczą Warszawę w dalszym ciągu. (...) Akcja ewakuacyjna dobytku materialnego jest w ogóle niemożliwa, dzięki barbarzyńskim zarządzeniom niemieckim. Jedynie garstka polskich specjalistów stara się uratować z dobytku kulturalnego to, co jeszcze do uratowania zostało”.

Ze wspomnień Tadeusza Makowieckiego: o tzw. akcji pruszkowskiej.

„...Przybyły dwa otwarte auta ciężarowe. Jedno bierze 12 bibliotekarzy. Jedziemy po raz pierwszy do zburzonej Warszawy, po raz pierwszy zobaczyć miasto, gdy już — nie istnieje. (...) Na chybota ciężarówce jedziemy szeptliwi, wyprostowani, uroczyści, trzymając się mocno za ręce. Nikt nie mówi ani słowa. Zajeżdżamy na dziedziniec Uniwersytetu.

Tu prawie nie znać wojny. Gmachy: porektorski, muzealny i medyczny, a przede wszystkim Biblioteka ze ścianą zrudziałego wina zasłaniają ruiny reszty Uniwersytetu, jest niemal tak jak — kiedyś. Wchodzimy do BUW. Stosy papierów, gazet, książek — nieraz do wysokości człowieka. W czytelnikach, biurach stoły poprzewracane, szafy puste, w szerokich oknach strzelnice zbudowane z ciężkich, oprawnych tomów. (...) Razem w Bibliotece ze 20 000 książek i gazet rozrzuconych, porozpłaszczanych, podeptanych. Reszta — czyli koło miliona — stoi nietknięta na swoich miejscach. (...)

Biblioteka Krasieńskich. Stajemy. Cisza. Wszystkie okna magazynu czarne i puste. (A wiemy, że Biblioteka przetrwała Powstanie). Schodzimy (buty grzęzną w popiele) do ogromnych piwnic. Musiały być podpalane każda oddzielnie, systematycznie. A tu zgromadzono największe skarby: rękopisy, starodruki, rysunki, ryciny, nuty, mapy, Bibliotekę Załuskich, zbiory Stanisława Augusta, resztę zbiorów rapperswilskich, archiwa Krasieńskich, cimelia wszystkich bibliotek Warszawy. Nic. Nic. Z górą 100 000 pozycji rękopiśmiennych nie wyzyskanych, nie drukowanych nigdy i już nigdy. Od iluminowanych złotych miniatur z XIV w. przez bezcenne silva rerum polskie do nieznanych listów Żeromskiego, Reymonta, Berenta. Nic. (...)

Na Koszykową wjechać nie sposób. Ruiny, barykady, rowy. Auto staje na rogu Mokotowskiej. Kilku z nas wyskakuje. Biblioteka jest. Biemy pięściami w zamknięte drzwi, wołamy. Po dłuższej chwili wychodzą: dr Ewa Śliwińska, Czesław Gutry, Ksawery Swierkowski i jeszcze ktoś czwarty. Bładzi, szarzy, lecz spokojni — spakowali co cenniejsze i znoszą do piwnic. (...) Chcemy ich zabrać. Za nic. Są

jakby zaczadziali uporem. Mają kaszę, cukier, smalec — proszą tylko o mydło. Auto trąbi na nas: przed 3.00 trzeba wyjechać z Festung Warschau”.

Ze wspomnień Tadeusza Makowieckiego, o ratowaniu zbiorów BUW:

„Dni gwiazdkowe 1944 miały odmienny przebieg niż codzienne nasze roboty, acz nie z gwiazdkowych względów (chodziło o dokonanie prac w lochu pod Biblioteką). 21 grudnia „Niemcy biblioteczni” wyjechali na święta. Zostaliśmy sami. Mieliliśmy trzy dni. Cały dzień (było nas rozstawionych na piwnicznych schodach osmiu) szły książki i pisma kolejką do schronu, gdzie Kotniewicz przy świeczce kładł tom, przy tomie jak cegła przy cegle, żeby nie zmarnować ani cala miejsca. Ściana książek co pół godziny przysuwała się o pół metra do drzwi. (...) Bez chwili odetchnienia, jak maszyny, bez myśli chodziliśmy w kółko po paru schodach, by odebrać naręcz książek z góry i podać następnemu niżej. W przerwie tylko przy świeczce sprawdzaliśmy zegarki: jeszcze trzy godziny pracy, jeszcze dwie — wreszcie ściana (wyjazd z miasta o trzeciej) staje o pół metra od drzwi. (...) Na dzień następny, ostatni przed świętami zostaje nam (...) sprawa najważniejsza i najtrudniejsza: zamurowanie otworu drzwiowego (...) pod okiem Niemców, w środku twierdzy, na pierwszej linii frontu. Kotniewicz zamówił znajomego murarza z Pruszkowa, dwa woreczki cementu, kielnię i inne przybory.

Po długich perypetiach, gdy nie ma transportu (mróz 20°, 23 grudnia), zdecydowani już iść pieszo 17 km z Pruszkowa do Warszawy, wreszcie jedną ciężarówką z grupą ratowników Biblioteki Narodowej jedziemy. W BUW-ie mamy niecałe 4 godziny na pracę. Bohdan Korzeniowski zajmuje się z Niemcem-konwojentem wyszukiwaniem odpowiedniego do stołówki kompanii żyrandola, bo przecież murować przy świadku niepodobna, my — coraz prędzej spod spalonego archiwum znosimy po kilka cegieł, po schodach, półtora piętra do lochu. Zrzucamy pała, marynarki, dźwigamy w kamizelkach, rozgrzani — prędzej, prędzej!

Nagle nowa przeszkoda. Wody nie ma przecież w całej Warszawie, wiedzieliśmy o tym, ale liczyliśmy na źródło przy Karowej, bez konwojenta jednak spacer po ulicy to kula w łeb. Na szczęście jest śnieg. Zgarniamy go w stare wiadra, trochę lodu łamiemy, co stoi pod rynną. Ktoś szybko łamie stare krzesło na szczapy, rzuca w

dokończenie na str. 11



Ruiny gmachu Zachęty



Ruiny Pałacu Staszica — dziś siedziby PAN

Obraz Polski w liryce J. Iwaszkiewicza



Ziemia polska — a może ściślej — rdzennie polska, nie pojawia się w poezji Iwaszkiewicza jako pierwsza fascynacja młodości, jako „kraj lat dziecińczych”. Takim krajem jest bowiem dla autora „Brzeziny” Ukraina, świadomie i niejednokrotnie wyodrębniana, a nawet przeciwstawiana Polsce. W jego wierszach pochodzących z różnych epok, obserwujemy stały kult owego mitu korzeni, przejawy fascynacji „Starą Ukrainą”. Iwaszkiewicz-pamiętnikarz napisze kiedyś po latach:

„Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że Polska była dla mnie krajem egzotycznym, że opowiadano mi o niej w dzieciństwie jako o czymś dalekim i nieosiągalnym, że chwilami przemieniała się dla dziecka w krainę baśniową, że jej onomastyka brzmiała... jak onomastyka „Odysei” czy „Ramajany”.

Gdy w roku 1918 24-letni poeta odbył swą „trzecią podróż” do Polski — tym razem na stałe, gdy w Warszawie zaczął wespół z Tuwimem, Lechoniem i Wierzyńskim bywać i występować „Pod Picadorem”, a następnie w „Ziemiańskiej”, już wówczas dawał poetycki wyraz zainteresowaniom różnymi przejawami życia codziennego swej nowej, właśnie odradzającej się ojczyzny. Znamionnym przejawem zagubienia, połączonego z uporczywą próbą samoregulacji świadomości twórczej może być wiersz „Jesień w Warszawie”, gdzie pisał m.in.:

*Gdzież tu zasadzić wszystkie swoje kwiaty
Między Ziemiańską, Kruczą a belferką*

i dalej:

*Maj się mój gdzieś w Kijowie między okostystychy
Płonący wydał — zasię śmieszyl w Picadorze.*

Przejawy pierwszej fascynacji polskością odnoszą się m.in. do stolicy niepodległej Polski, a ich świadectwem mogą być takie wiersze jak „Podróż po Warszawie”, „Bielany”. Ale ta „wstępna” recepcja „polskości” dokonuje się nie tylko i nie przede wszystkim poprzez zainteresowanie wielkomięjskością. Iwaszkiewicz jak mało kto czuje polski pejzaż, potrafi pisać o polskiej prowincji, żyje polską historią i tradycjami polskiej kultury.

Cykl wierszy pt. „Skąd widzieliśmy Tatry” jest interesujący nie tylko ze względu na motywy tematyczne, ale także z uwagi na kształt formalny. Ciekawa jest tu projekcja perspektywy, z jakiej zbiorowy podmiot liryczny kontempluje widok Tatr. Otóż ogląda je najpierw z Gór Świętokrzyskich, następnie z Ojcowa, z Wawelu, z ruin tęczyńskiego zamczyska, wreszcie już z bliska — z „Obidowskiej Góry”. Tak zaplanowane konstrukcje obrazów literackich stwarzają możliwość dostrzeżenia nie tylko głównego obiektu, ale też penetrację bliższego planu. Na pejzaż ziemi ojczystej nakłada się refleksja historyczna; poetycka wycieczka w Tatry, poprzez poszczególne krainy Polski, okazuje się być przejawem „obywatelskości” — jednego z ważnych znamion tej poezji.

Częstym elementem obrazu ojczyzny w poezji J. Iwaszkiewicza jest krajobraz polskiej prowincji, małych, osadzonych w ojczystym pejzażu miasteczek. Oto fragment „Książki moich wspomnień” poświęcony Sandomierzowi:

„Z miastem tym związał mnie niczym niewytłumaczony sentyment — jak gdyby tutaj stała kolebka czy trumna mojej matki (...). Miasteczko, wysoko nad Wisłą położone, stało się dla mnie miastem rodzinnym z wyboru (...) W cieniu sandomierskiej katedry, przy płaczącym dźwięku jej wieczornego dzwonu „za tonących”, powstawały moje najlepsze rzeczy”.

Kolejne warianty motywu sandomierskiego zawierają jak zwykle u Iwaszkiewicza — podtekst filozoficzny; określają miejsce polskiego artysty w czasie historycznym i przestrzeni. Bo sentyment dla przyrody ojczystej okazuje się być ważnym elementem pewnej ogólniejszej tendencji twórczej — fascynacji usytuowania człowieka w naturze.

Wszelkie egzystencjalne problemy ludzkiej jednostki znajdują w przyrodzie nie tylko tło, ale także podstawowy punkt odniesienia.

Rzecz znamionna — dorobek kulturalny przeszłości nie stoi — w tej poezji wobec natury. Wytwory kultury polskiej minionych epok — to integralny element krajobrazu ojczyjstego. Obrazy przyrody i zabytki polskośći wzajemnie się przenikają, uzupełniają — ich synteza ma znaczenie szczególne. Oto przykład modelowy:

„Jest w Opatowie takie miejsce jedno jedyne, gdzie poprzez Bramę Krakowską i jej szczyt widać wieżę złotogłowej kolegiaty (złotogłowy, to znaczy kwiat złotogłowy). Jest to kompleks linii jedynej na świecie. Zwisają tu jesienne liście, przekreślają te linie rozplywającymi się plamami. Spoglądam na to miejsce przelotem, raz jadąc do Sandomierza, raz wracając. Zamyka się w nim Polska — tak jak ja czuję”.

Wbrew pozorom nie był to fragment prozy pamiętnikarskiej, lecz urywek z miniatury poetyckiej, umieszczonej w tomie „Jutro żniwa”.

Zainteresowanie historią Polski zaowocowało literacko głównie w prozatorskim dorobku J. Iwaszkiewicza, natomiast w poezji szczególnie są widoczne związki z polską tradycją literacką. Iwaszkiewicz przejął na stałe pewne tendencje twórcze, ukształtowane ostatecznie w epoce modernizmu. Odwoływał się niejednokrotnie do polskiego baroku dworskiego, a zwłaszcza do poezji Jana Andrzeja Morsztyna. W tomach liryki — zwłaszcza międzywojennej — widoczne są też wpływy poezji Jana Kochanowskiego, Juliusza Słowackiego, Teofila Lenartowicza. Swoisty charakter mają związki poezji Iwaszkiewicza z Norwidem. Mają one charakter „europeizujący”. Elementów obrazu Polski w poezji Iwaszkiewicza nie można bowiem rozpatrywać poza podejmowaną w tym dorobku próbą rewaloryzacji mitu europejskiego. Analiza tego problemu na przestrzeni dwu epok ujawni pewne znamiona ewolucji obrazu ojczyzny w liryce Iwaszkiewicza.

W przedwojennym „Powrocie do Europy” pojawia się swoista interpretacja opozycji: polskość — europejskość. W otwierającym tom wierszu europejscy poeci — zbiorowy podmiot liryczny — określają miejsce Polski, a właściwie polskiej kultury w znamionnym zwrocie:

*„popatrz, to niebo jest takie jak w Europie,
Obłoki tak samo mijają i kwiaty jak w Polsce są.”*

A więc traktuje się tu polskość i europejskość — jednokładnie, bez kompleksów. Inaczej zaś np. w liście poetyckim „Do Pawła Valery’”. Tu autor eksponuje odmienną tradycję narodowych francuskiego i polskiego poety, podkreśla obywatelskość poezji naszej — od czasów Jana Kochanowskiego. W odrodzonej Polsce, gdy już „Z Litwy nikt nie woła”, inspiracją może pozostać jedynie niepokój, wynikający ze smutnego przeświadczenia, iż „Nie wejdzim do królestwa, gdzie poezja czysta”.

Mit europejskiej wspólnoty, poddany ostrej poetyckiej konfrontacji już w latach trzydziestych ulega dalszej rewizji w dokonaniach powojennych. Obraz Polski walczącej z okupantem znalazł pełny wyraz w pozapoetyckim dorobku J. Iwaszkiewicza (m.in. w takich nowelach, jak „Stara cegielnia”, „Ikar”, „Młyn nad Lutynią” oraz w powieści „Sława i chwała”), nie minął wszakże bez echa w jego liryce. Znamienne jednak, że w pierwszym pookupacyjnym zbiorze — nie znajdziemy tekstów o charakterze notatek lirycznych, odnoszących się do konkretnych wydarzeń okupacyjnych. Ciemna, przejmująca tonacja tych wierszy sygnalizuje jednak ciągłą obecność w świadomości autora — i w świadomości narodu — „otwartej rany wielkiej, w której serce skacze”.

EWA STOMAL

„Wzorowy uczeń” czy „wzorowy matematyk”

Plakietki wzorowego ucznia, świadectwa z paskiem, srebrne i złote tarcze — to wszystko atrybuty absolutnego prymusa, ucznia najpierw szkoły podstawowej, a potem średniej.

W klasach I—III plakietki „Wzorowego ucznia” otrzymują posiadacze samych piątek ze wszystkich przedmiotów i najwyższej oceny ze sprawowania. W klasach wyższych szkoły podstawowej mogą się zdarzyć nieliczne czwórki, nie obniżające średniej poniżej 4,5, ale oczywiście nie z zachowania, które ma być nadal wzorowe — a jest szansa na świadectwo „z paskiem”. Takie same mniej więcej kryteria muszą spełniać młodzi ludzie w szkole średniej, aby pod koniec roku wrócić „z tarczą” — złotą lub srebrną (lub może „na tarczy”?).

Ilu jest takich geniuszy i czy rzeczywiście są to geniusze? No, może nie geniusze, ale uczniowie rzeczywiście wszechstronni i uzdoinieni, a oprócz tego bardzo grzeczni. Zdarzają się też mniej zdolni, ale za to bardzo pilni i równie grzeczni (zwani czasem przez kolegów „kujonami”). Oczywiście takie renesansowe omnibusy, reprezentu-

jące typ pierwszy zdarzają się rzadko, ale wówczas na ogół nauczyciele mają z tymi „przemądrzałymi” ciężkie życie. Typ drugi natomiast, jak sama nazwa szkolna wskazuje, nie cieszy się z kolei zbyt dużą sympatią klasy (odwrotnie niż u nauczycieli).

A tymczasem i rodzicom, i nauczycielom wiadomo przecież dobrze, że każde dziecko, młodsze czy starsze, jest inne, że każde ma inne zainteresowania i że każde ma jakieś zdolności. „Jakieś” — to oczywiście nie znaczy, że do wszystkiego po trochu, a w każdym razie nie zawsze. „Jakieś” — to znaczy, że jedno dzieci wolą się uczyć polskiego, innym sprawia radość matematyka, jeszcze inne w starszych klasach wyżywają się w chemii, fizyce czy biologii. Rozejrzyjmy się dobrze: na pewno wśród naszych czy znajomych dzieci i młodzieży licealnej znamy np. jakiegoś chemika, który już przed maturą zapewnił sobie miejsce na uczelni dzięki olimpiadzie przedmiotowej, albo przyszłego krytyka literackiego, wyczytującego wszystkie nowości biblioteczne. Niestety — w świetle obecnych przepisów nie mają oni prawa do pas-

ków na świadectwach, ani złotych, srebrnych czy nawet brązowych tarcz — choć w swoich „specjalnościach” są naprawdę znakomici. Właśnie — w swoich specjalnościach, czyli ulubionych przedmiotach. Czasem zresztą jest to cała grupa przedmiotów, humanistycznych albo ścisłych, a czasem — zainteresowania mogą być mieszane, np. matematyka i historia, czy chemia i biologia.

Dlaczego więc nie premiować tych właśnie zainteresowań? Dlaczego nie przyznawać wyróżnień w poszczególnych przedmiotach w każdej klasie dla kilku rzeczywiście najlepszych w tym przedmiocie uczniów? Nic zresztą przecież nie stoi na przeszkodzie, aby jeden uczeń był najlepszy z kilku przedmiotów — ale rzeczywiście najlepszy, bez „naciągania” na wzorowego, jak to się czasem zdarza, w sytuacji gdy taki prymus musi i wzorowo mnożyć, i rysować, i fikać koziołki. Wyróżnienia takie mogłoby za to otrzymać więcej uczniów, nawet takich, którym wobec absolutnej niemożności opanowania do perfekcji np. geografii, wszechstronne wyróżnienie w postaci

paska na świadectwie czy tarczy nigdy by nie zostało przyznane. Ponieważ zaś rywalizacja dotyczyłaby wszystkich przedmiotów, stałyby się one dla uczniów jednako-wo ważne, a zwycięzcy mieliby możliwość tym lepiej rozwijać swe zdolności. Niewątpliwą korzyścią byłaby również konieczność rzeczywiście indywidualnego podejścia nauczycieli do dziecka, wyszukania w nim naprawdę najlepszych stron, a nie skazywania na niższą ogólną ocenę, „bo i tak prymusem nigdy nie będzie”.

Taka propozycja wprowadzenia wyróżnienia „Wzorowego matematyka, czy „Wzorowego plastyka” może być zrealizowana prawie od zaraz.

Na razie, gwoli ulubionego przez niektórych „eksperymentowania”, może wprowadziłyby ją choć niektóre szkoły gdzie dyrekcja i grono pedagogiczne świadome jest, że w dzisiejszych czasach nie ma już „renesansowych omnibusów” i nikt nie musi być najlepszy we wszystkim, aby być rzeczywiście dobrym fachowcem i wartościowym człowiekiem.

ed

dokończenie ze str. 8—9

żelazny piecyk, w dziesięć minut później wiadro czarnej, mętnej wody stawiamy przed murarzem, który celebruje robotę. (...)

Tuż po pierwszej kuśtykając przychodzi Bohdan, fiołkowy na twarzy. Za nim siny, twardy od zimna żołnierz dźwiga z dumą okropny pozłaczany żyrandol z pięcioma malowanymi kłoskami. (...) Sadzamy Niemca do ciepłej piwnicy, dostaje kiełbasę i wódkę. Teraz się na pewno nie ruszy.

Bohdan całą zakumulowaną energią rzuca teraz do pracy. Murarz już zamazuje mokrą ścianę wapnem, ale trzeba to wszystko ukryć. Komenda przechodzi w ręce reżysera-teatrologa. Holujemy 4 szafy z II piętra do lochu, zsuwają się schodach, koziołkują po podestach, półki wypadają, nogi odlatują — prędzej, prędzej. (...) Kotniewicz bretnalami zbija ze sobą w lochu boki szaf, żeby nie można ich rozsunąć. Aby skrytka z zejściem do pustych szaf nie wyglądała sztucznie — znosimy na półki stare woluminy, ktoś zniósł kilkanaście pudeł katalogu działowego. (...) Korzeniewski, obserwując z przekrzywioną głową efekt swej roboty, rozsypywał na podłodze stare gazety, deptał je nogami, tworzył sztuczny naturalny nieład (i ukrywał plamy wapna na schodach i na ziemi). Przeglądaliśmy się dziełu i rzuciliśmy się sobie w ramiona. Ściskaliśmy się wszyscy po kolei mocno. Robota była zrobiona dobrze. Siedemdziesiąt tysięcy najważniejszych dzieł naukowych będzie gotowych na otwarcie Uniwersytetu”.

Ze wspomnień Bohdana Korzeniewskiego:

„Obudziłem się już w Pruszkowie wolnym.

Przypuszczając, dosyć naiwnie, że skoro Pruszków jest wolny od Niemców, to tym bardziej będzie wolna od nich Warszawa. ruszyłem do niej tak, jak stałem. Nie miałem zresztą niczego oprócz tego, co na sobie. (...) Gdzieś w pobliżu Nowego Świata wydobylbym spod cienkiej warstwy lodu, na jakiejś jezdni, stary drzeworyt japoński. Tryptyk przedstawiał sceny z tradycyjnego teatru. Rycerz o groźnej twarzy walczył z upiorem, który drapieżnie wyciągniętymi rękami sięgał po kobietę skurczoną na podłodze. Tylko w jednym miejscu drzeworyt zachował ślad podkutego obcasa.

Odetchnąłem mijając pusty bunkier przy bramie Uniwersytetu. Wszystko wyglądało tak samo, jak przed paru dniami, kiedyśmy tu byli pod strażą żandarmów. Niemcy nie wysadzili gmachów w powietrze. Nie zdążyli wypełnić rozkazu, który polecał nie zostawiać w Warszawie kamienia na kamieniu. Ofensywa zaskoczyła ich tak niespodziewanie, że nie zdolali nawet rzucić kilku granatów do Au-

dytorium Maximum wypełnionego amunicją. Może żaden z oddziałów nie zajrzał nawet do tego budynku, który robił wrażenie ruiny? W panice odwrotu nawet Niemcom zdarzały się niedopatrzności. (...)

Wkrótce po przybyciu poszedłem również na Okólnik, do Biblioteki Krasieńskich. Byłem tam ostatnio przed pół rokiem, na parę tygodni przed wybuchem Powstania. (...) Wtedy w Bibliotece Krasieńskich postanowiliśmy przynajmniej utrudnić spalenie zbiorów teatralnych. Wybraliśmy w podziemiach Biblioteki loch zakończony ślepa ścianą. Bezценne egzemplarze jeszcze z odręcznymi notatkami Wojciecha Bogusławskiego i równie unikatowe tomy afiszów ułożyliśmy ciasno aż po samo sklepienie. Przypuszczaliśmy, że nawet przy pożarze gmachu tak stłoczone dokumenty ocaleją. Papier, jak wiadomo, pali się nietłatwo. Wejście do lochu zamknęliśmy arkuszami blachy i workami z piaskiem. Dla niepoznaki przed otworem spiętrzyliśmy stertę jakichś gratów.

Toteż teraz kiedy po wejściu w ruiny Okólnika zobaczyłem przez puste okna w osmalonych murach Biblioteki niebo, jeszcze nie straciłem nadziei. Grube wertheimowskie stropy mogły nie tylko wytrzymać ciężar walących się pięter, ale i ochronić zbiory przed żarem. Ież to warszawskich piwnic przechowało ukryte cenności, chociaż kamienice zamieniły się w pogorzeliśko!

Zejście do podziemi nie było zawałone gruzami. Dotarłem więc do lochu. Przy pierwszym spojrzeniu można było doznać oszałamiającej radości. — Ależ tak — chciało się zawołać — zbiory ocalały! Leżały w grubych, równych warstwach. Uderzał nawet jakiś porządek, którego nie zostawiliśmy maskując schron. Nie było ani blach, ani worków z piaskiem. Zwracał także uwagę znacznie niższy poziom pokładów. Woluminy nie przylegały już tak ciasno do sklepienia, jak wówczas, kiedyśmy je układali.

Blizsze podejście odkrywało sekret tych zmian. Był ohydny. Po dotknięciu warstwy równo ułożonych egzemplarzy już nawet nie rozpadły się, ale zniknęły. Zbiory zetlały doszczętnie w ogniu, który musiał je trawić wolno przez wiele dni. I nie było nawet trudno domyślić się, jak je niszczone. Członkowie Brenkomando posiadali niewątpliwie rozległe doświadczenie fachowe. Nie zabrakło im również w pokonanej Warszawie czasu na wykonanie roboty. Wygarnęli książki spod stropu, obleli je benzyną i podpalili. Już ze stopą na gardle wypełnili wyrok zagłady wydany na sąsiedni naród. Mieściło się w nim obok ludobójstwa również i książkobójstwo”.

(Wybór tekstów i opracowanie na podst. książki „Walka o dobra kultury Warszawa 1939—1945”, t. II — ed)



Stefan Wiechecki (Wiech) w karykaturze Jerzego Zaruby

Stefan Wiechecki (Wiech)

— dziecko Warszawy

Kto nie zna Wiecha? Pytanie — oczywiście retoryczne, gdyż znają go wszyscy. Z felietonów pisanych językiem warszawskich przedmieść, w których prym wiodła Gieniuchna i Walery Wątróbka oraz nieodłączny Piekutoszczak; z satyr prezentowanych przez niezawodnych warszawskich wykonawców z Hanką Bielicką na czele tudzież zamieszczanych w poczytnych stołecznych czasopiśmie.

A zatem: znamy Wiecha, tego być może „ostatniego Mohikanina „warszawskiego folkloru, który, choć nieobecny od kilku lat na ziemskim padole, przemawia jednak nadal kwiecistym językiem swych bohaterów i śmieje się spoza kart swych książek. A że było ich wiele, bo to i „Gajak Gienia”, i „Wiadomo stolica”, „Spacerkiem przez Poniatoszczaka” i „Caffe pod Minogą”, tedy okazji do usmiechu i nam, czytelnikom, nie brakuje, a przy tym i sposobności do poznania prawdziwej Warszawy.

Tak oto za sprawą niestrudzonego „podpatrywacza” i niepowtarzalnego kronikarza Stefana Wiecheckiego dostępujemy „wtajemniczenia” w osobliwy świat miasta i ludzi znad środkowej Wisły. Miasta, które dla Wiecha było kolebką i źródłem...

Ale oddajmy głos Autorowi tych niezwykłych kronik, by tym razem poznać nieco prawdy o Nim samym.

W napisanej z iście Wiechowską swadą książce „Pięte przez dziesiąte” Stefan Wiechecki daje upust swej pamiętnikarskiej wyobraźni, w której jest także miejsce na „kartkę z jego życiorysu”.

My ze swej strony wiemy, że wszystko zaczęło się w roku 1896, wtedy bowiem przyszedł na świat Stefan Wiechecki. Niespokojny wiek XIX odchodził w przeszłość...

„Cień powstania listopadowego — jak wspomina Wiech — zaciążył nad moim urodzeniem, gdyż przyszedłem na ten świat w małym domku na Woli, na wprost kościółka

Sowińskiego. Rodzice moi opuścili to historyczne sąsiedztwo, kiedy miałem chyba coś z półtora roku, więc o bohaterskiej śmierci generała i walkach na wolskiej reducie dowiedziałem się znacznie później, ale coś tam widocznie wsiąkło w duszę oeska, bo niesłychanie potem byłem dumny ze swojego miejsca urodzenia i na wałach reduty spędzałem liczne wagary w latach szkolnych. (...)

Z bohaterami roku 1863 miałem już kontakt osobisty. Wielu z nich żyło wówczas, znajdowało się w moim otoczeniu. W oficynie domu przy ulicy Wielkiej, gdzie mieszkaliśmy po wyprowadzeniu się z Woli, miał na antresoli mały warsztatik szewc, pan Dobrosielski. (...) W barwnych jego opowieściach, bo miał stary łatacz butów rzadki dar opowiadania, odżywały bitwy pod Białogószczą, Rudnikami i Radomiem”.

Tak wyglądały pierwsze lekcje historii ucznia Stefana Wiecheckiego, które wkrótce zostały uzupełnione innymi — „literackimi”. Okazało się bowiem, że w kamienicy przy Wielkiej 45, w której zamieszkiwało około stu lokatorów, mieszkał także niejaki Wicus Pijus, notabene dozorca wyżej opisanej czynszówki.

„Przez owego Wicusia, jak pseudonim wskazuje, znajdującego się przeważnie na tak zwanym gazomierzu, poznałem tajniki warszawskiej mowy wiązanej. Był on jednym z pierwszych moich wykładowców nadwiślańskiego dialektu. (...)

Muszę to stwierdzić, że każde z jego wyrażen stanowiłoby by mogło prawdziwą ozdobę „Słownika Wyrazów Żelżywych” profesora Wieczorkiewicza”.

Ten Wicusowy język mocno jednak zapadł w pamięć przyszłego pisarza i — jak twierdzi — pomógł w późniejszej pracy miłośnika i odtwórcy gwary naszego miasta.

Do jej lepszego poznania nie brakowało także i innych okazji. Dostarczała ich codziennie warszawska ulica,

przy której mieściły się ciasne, ale za to pełne sklepy z chałwą i daktylami, cukiernie zachęcające przechodniów tortami z „fontannami z czerwonego lukru, pracownie tapicerskie i sklepy lamp i porcelany wielce osobliwych właścicieli, jak chociażby przemawiający dyszkantem Dawid Mineral”.

Wiele rzeczy się działo wtedy na ulicy Wielkiej. Wkrótce zaś dzieć się miało jeszcze więcej, gdyż nadchodziły niespokojne lata 1905—1907.

Pierwsze poddmuchy rewolucji naznaczyły historię tej ulicy salwami piechurów litewskiego pułku podczas manifestacji na placu Grzybowskim. Na oczach dziesięcioletniego chłopca padali śmiertelnie ranni. „Do tej pory widzę czolgających się jezdnią pokrwawionych ludzi” — wspomina Stefan Wiechecki w swoim pamiętniku.

„Widzę siebie i brata Mundka, jak przemycamy się w towarzystwie dziadka pod murami domów. Po chodnikach i środkiem ulicy jadą kozacy z gołymi szabłami w rękach”. (...)

Warszawa nazwała ten dzień „krwawą środą” roku 1906.

Życie toczyło się jednak dalej i poza przykrymi i tragicznymi zdarzeniami przynosiło także dobre dni. Dla dwunastoletniego Stefana Wiecheckiego był nim literacki debiut w magazynie „Wiarius”. W taki oto sposób nadesłana incognito nowela do czekała się całkiem poważnej publikacji.

Przedtem jednak dobrze zapowiadający się uczeń Gimnazjum Filologicznego Wojciecha Górskiego „połknął bakcyli teatru” jako aktor przedstawień amatorskich urządzanych w domu podwórkowego kolegi. (Z czasem te aktorskie zmagania przeniosły się na teren szkoły, z tą tylko różnicą, że oprócz „kariery aktorskiej” młody gimnazjalista zapragnął także sprawdzić swe siły w dramaturgii). W taki właśnie sposób powstał skecz „Na wakacjach” przyjęty przez wy-

magającego dyrektora szkoły z dużą życzliwością.

Wkrótce potem Stefan Wiechecki — jeszcze gimnazjalista — zaangażował się do „stałej amatorskiej trupy, grywającej pod firmą Teatr Popularny” i ani się sposterzegł, gdy zajął stanowisko „drugiego amanta (tak, tak!), kreując najrozmaitsze postaci w mrozących krew w żyłach dramatach z szerokiego repertuaru teatrów ludowych”. (...)

Nauka i doświadczenie aktorskie nie poszły w las. Po tem przyszły role w Teatrze Powszechnym na Chłodnej, a w roku 1929 założenie własnego teatru „w bankrutującym kinie Europa na Wolskiej”. Teatr nazwany został także Popularnym i zatrudniał wcale znanych aktorów, gościł zaś równie szanowanych bywalców z Jaraczem, Węgrzynem i Schillerem włącznie. Niestety, gusta masowe popierające bardziej kino niż teatr, uniemożliwiły dalszy rozwój teatralnej placówki. W ten oto sposób scena została zastąpiona „scenami z życia” rodem z Kercełaka.

Obserwacja warszawskich typków podsunęła wyobraźni nowe postacie. Tak narodził się pan Piecyk i Walery Wątróbka z nieodłączną panią Gienią oraz znany wszem i wobec szwagier Piekutoszczak. Wraz z nimi ujawniły się dziennikarskie pasje niedawnego dyrektora teatru, którym dawał upust najpierw w „Kurierze Warszawskim”, a potem w nowo założonej popołudniówce „Kurier Czerwony”.

„Codziennie niemal dostarczałem gazetce swoje Michałki z warszawskiej ulicy. Były to najczęściej gwarowe dialogi, podsłuchane niby rozmowy przechodniów lub takich funkcjonariuszy jak dozorca domu, zwrotniczcy tramwajowy czy stróż nocny, zwany w gwarze papugą. (...) Z czasem zacząłem się wypuszczać na większe reportaże, najczęściej z ówczesnego podziemia kryminalnego”. Ale oprócz reportaży powstawały także felietoniki — barwne, soczyste obrazki z życia warszawskiej ulicy, których autor pisał coraz więcej, i które przysporzyły mu prawdziwej popularności.

Tak oto narodził się Wiech — postać wyjątkowa, „wyjątkowa nie tylko w naszej literaturze, ale w literaturze całego świata!” (Karolina Beylin — „Ekspress Wieczorny”).

I jeszcze jedno: Wiech był. Jest i pozostanie na zawsze dzieckiem Warszawy, tak dalece nieodrodnym, że aż wolno przypuszczać, iż „gdyby nie było Warszawy i on by nie istniał”...

ELŻBIETA DOMAŃSKA

Przypominamy wszystkim dzieciom, że dziś — Dzień Babci. Jest to wspaniała okazja, by podziękować naszym kochanym, rozpieszczającym nas na co dzień Babciom okolicznościowym wierszykiem, nadprogramowym całusem i — osobiście wykonaną, przepiękną laurką w kształcie serca! A my — ze swojej strony dedykujemy wszystkim Babciom ten oto wiersz, autorstwa Kazimierza Wierzyńskiego:

I znów jest wieczór w szarudze i słońce
I lampę trzeba świecić już o czwartej.
Siądź tu naprzeciw: Ty wiesz: w tej martwocie
Najwięcej szczęścia dają twoje karty.
Zmarszczone ręce położą proroczy
Karowód zdarzeń i tak nie do wiary
Dobrze się stanie, gdy podnosząc oczy
Na mnie popatrzyś się przez okulary.
Ktoś mi list przysłał — prawda? — i wyswata
Z kierową damą, która na mnie czeka;
Niespodziewany czyjś przyjazd i strata.
Intrygi pików i podróz daleka.
I całe życie, to które się zmieści
W jednym kwadracie pasjansa, w mozaice
Kart kolorowych, w najdroższej powieści,
W sercu, co kocha, jak w bajce, jak w bajce.
Nie trzeba sprawdzać, wszystko się sprawdziło,
Wyszło, com myślał — tak, wiesz, nie do wiary —
Że mi w szarugach dni będzie się śniło
Spojrzenie długie poprzez okulary.



(18)

— My tu gadamy, a słońce coraz wyżej — zauważyła Jarucha. — Przed wami daleka droga, pełna niebezpieczeństw. Czas już na was, moi złoci.

Malwina dosiadła rumaka o skońnych oczach, kruk zaś poszybował nad nimi, żegnając Jaruchę łopotem swych mocnych piór i głośnym krakaniem.

* * *

Jarucha długo jeszcze patrzyła za Malwiną, a właściwie w to miejsce, gdzie splątane krzewy falowały jeszcze, poruszone uprzednio przez wędrowców. Na-

stępnie usiadła przy ognisku i zapatrzyła się w smukłe ogniki. Tak zadumana nie zwracała uwagi na uciekający czas. Ani się nie spostrzegła, kiedy nastał wieczór i ciągnący od lasu chłód przejął jej stare kości. Wyostrzony słuch wyłapał nagle tętent konia. Ktoś najwyraźniej kierował się ku leśnej polanie. Jarucha usiłowała przeniknąć wzrokiem ciemności, lecz niezbyt jej się to udawało. Nagle, tuż przed nią, zamajaczyła jakaś postać. Szedł ku niej mężczyzna słusznego wzrostu, już niemłody — na co wskazywałby jego ciężki chód.

— A dokąd to Bóg prowadzi? — spytała stara, usiłując dojrzeć twarz nieznanego.

— Do was idę, Jarucho — odpowiedział mężczyzna. — Przyjmiesz mnie?

— Gość w dom, Bóg w dom — odpowiedziała Jarucha już śmiało, ponieważ głos przybyśza wydał się jej dziwnie znajomy.

— Podejdz, panie, bliżej. Przy ognisku zawsze jest cieplej — zapraszała.

— Nie wygonisz mnie? Bo nie po czary przyszedłem — usłyszała.

— A gdzież by tam, panie! Po cóż bym was miała wyganiać. Siadajcie tu i powiedzcie z czym do mnie przychodzicie.

Nieznanomy zbliżył się do ogniska i jasne płomienie oświetliły jego twarz. Jarucha poznała króla Sobiesława. Zerwała się ze swego stołka i skłoniła przed nim.

— Miłościwy panie, królu... — zaczęła Jarucha.

— Nie jestem ja żadnym miłościwym panem dla ciebie, Jarucho, lecz biednym człowiekiem i twoim dożgonnym dłużnikiem — powiedział król. — Dziecko mi ratujesz, chronisz i pomagasz. A i ja teraz przybyłem z tak daleka, by szukać twojej pomocy.

— Czym mogę ci służyć, najjaśniejszy panie? — spytała wiedźma.

— Córka moja, Malwina, opowiedziała ci zapewne naszą rodzinną historię. Wiesz zatem i o Hortensji. Czy słyszałaś też o Zielonym Księciu?

— Tak, mój królu, wiem o wszystkim. Widziałam też Zielonego Księcia.

— Ja również chciałbym się z nim widzieć.

— Niestety, królu, to niemożliwe. Zielony Książę nie może teraz przybyć. Przeszkadza mu zła moc Tytana.

— Wiem o tym, lecz wiem również, że Malwina otrzymała w darze od Zielonego Księcia srebrną szpilkę z magiczną kulką. Chciałbym zobaczyć tę szpilkę, jeśli to możliwe.

— Srebrna szpilka jest w posiadaniu Malwiny. Jest razem z nią. A Malwina wyruszyła właśnie do rycerza Tytana i jest w tej chwili na drodze prowadzącej do jego państwa. Każdy jej krok obserwuje Tytan i nic nie ujdzie jego uwadze. Nie możesz za nią podążyć, panie. Nie uda

ci się to, gdyż poniósłbyś natychmiast śmierć. Myślę, że i teraz — kiedy Malwina wyruszyła do jego królestwa, i ty, królu, jesteś bacznie obserwowany przez niewidzialnych rycerzy.

— Niewidzialni rycerze? — zdziwił się król. — Nigdy o nich nie słyszałem. Czyż to możliwe, aby tacy istnieli?

— W państwie Tytana wszystko jest możliwe. Strzeż się, królu — ostrzegła Jarucha. — Dopóki Malwina nie pokonała Tytana, nie jesteś ani ty bezpieczny, ani Hortensja.

— Gdybym miał tę szpilkę, uratowałbym może Hortensję — zastanawiał się król, nie bacząc na słowa Jaruchy. — Dlaczego Sambor skierował mnie właśnie tutaj? Powiedział, że to u ciebie, Jarucho, znajdę srebrną szpilkę z magiczną kulką.

Nagle Jaruchę coś tknęło. Przypomniała sobie bowiem, że po rozmowie z Zielonym Księciem nie wpięła ponownie srebrnej szpilki w suknię Malwiny, lecz w zasłonę wiszącą w szałasie — z tą myślą, że skoro świt, odda magiczną szpilkę jej właścicielce. Oczywiście, zapomniała o tym. Zapomniała, ponieważ kruk narobił niesamowitego zamieszania na widok Bengala. Szpilka więc powinna nadal znajdować się w szałasie.

— Panie mój, wybac mi, ta szpilka, o którą ci chodzi, rzeczywiście jest tutaj, w szałasie. Zapomniałam o tym — szepnęła Jarucha. — Już ci ją daję. edn



Rozmowy z Czytelnikami

Przeważająca część listów nadsyłanych do naszej Redakcji przedstawia zazwyczaj trudności dotyczące rozumienia niektórych prawd wiary lub ich uzasadnienia tekstami biblijnymi. Należy do nich również list, w którym p. Amalia B. z woj. elbląskiego pisze:

„Chociaż jestem rzymskokatoliczką, od szeregu już lat czytam tygodnik „Rodzina”. Przekonałam się też, że zamieszczane w tym czasopiśmie artykuły mogą zainteresować każdego chrześcijanina. Chętnie też czytam odpowiedzi Duszpasterza, zaś ich lekтура rozwiała wiele moich wątpliwości w sprawach wiary.

Wielokrotnie też czytałam Biblię. Jednak po kilkakrotnych wizytach Świadków Jehowy mam ponownie trudności, dotyczące nieśmiertelności duszy oraz osobowości Ducha Świętego. Ludzie ci twierdzą bowiem, że dusza ludzka jest materialna (jest nią krew) i śmiertelna. Na potwierdzenie swych twierdzeń przytacza-

ją teksty biblijne, np. „dusza, która zgrzeszy, ta umrze”. Mówią również, że po śmierci człowieka dusza jego „śpi w prochu ziemi, aż do zmartwychwstania”. Nie uznają też Ducha Świętego za osobę boską. Twierdzą natomiast — na co wskazywałyby teksty, szczególnie starotestamentowe — że jest On tylko mocą Bożą.

Proszę o poruszenie tych tematów na łamach „Rodziny”. Bardzo bowiem często Świadkowie Jehowy nachodzą mieszkania katolików, a znając dobrze Pismo Święte, zarzucają ich cytataki biblijnymi. W wielu wypadkach może to doprowadzić do zachwiania wiary. I nasuwa mi się tutaj refleksja, że byłoby dobrze, gdyby katolicy lepiej znali Objawienie Boże”.

Szanowna Pani Amalio! Tygodnik „Rodzina” pomyślany został jako czasopismo ekumeniczne. Świadczy o tym — między innymi — prowadzony pod tym kątem dobór autorów i tematyki. Toteż czytają go nie tylko nasi wyznawcy. Osobiście znam wielu — duchownych i świeckich — wyznawców z różnych Kościołów, którzy prenumerują i czytają ten tygodnik. Świadomość zaś, że czasopismo nasze pomaga Czytelnikom w usuwaniu trudności religijnych i umacnianiu wiary, jest dla nas prawdziwą satysfakcją.

Całkowicie zgadzam się z Pani spostrzeżeniami, dotyczącymi znajomości (a raczej nieznanności) Pisma Św. wśród ludzi wierzących. Zaś — jak to stwierdził wybitny znawca Biblii, św. Hieronim — „nieznajomość Pisma Świętego, jest nieznannością Chrystusa”, a więc głoszonych przez Niego prawd wiary i moralności. Różne są tego przy-

czyny. Przez długie lata, gdy dostęp do ksiąg świętych był zastrzeżony tylko dla duchownych, świeccy wyznawcy nie mieli praktycznie do nich dostępu. Teraz księgi święte studiować może każdy, o ile — oczywiście — uda mu się je nabyć. Niezależnie od tego szerzenie znajomości Objawienia Bożego jest podstawowym obowiązkiem każdego duchownego. Podkreślił to z naciskiem Syn Boży, mówiąc do apostołów i ich następców: „Idźcie... i nauczajcie wszystkie narody... ucząc je przestrzegać wszystkiego, co wam przykazałem” (Mt 28, 19—20a). Zaś apostoł Paweł dodaje: „Kościoła sługą zostałem zgodnie z postanowieniem Boga..., abym w pełni rozgłosił Słowo Boże” (Kol 1,25).

Twierdzenie, że dusza ludzka jest materialna oraz, że jest nią krew, nie ma uzasadnienia. Bowiem i zwierzęta posiadają krew, a przecież nikt — nawet Świadkowie Jehowy — nie odważy się twierdzić, iż mają duszę. Wyraźnie „dusza” w objawieniu starotestamentowym służy wielokrotnie na określenie całego człowieka. Nie należy się temu dziwić, gdyż pojęcie bezcielesnej i samostnej duszy ludzkiej nie było w Starym Testamencie sprecyzowane. Natomiast „nieśmiertelność duszy ludzkiej” jest jedną z podstawowych prawd objawienia nowotestamentowego. Klasycznym zaś tekstem na jej udowodnienie są słowa Chrystusa z kazania na górze: „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, ale duszy zabić nie mogą” (Mt 10, 28). Gdyby bowiem — jak twierdzą Świadkowie Jehowy — dusza była materialna i śmiertelna, można by ją zabić.

Nie można też uzasadnić tekstami biblijnymi, że po śmierci człowieka dusza jego „śpi w prochu ziemi, aż do zmartwychwstania”. Jest bowiem rzeczą nie do przyjęcia, by ziemia mogła „uwięzić” w sobie niematerialną duszę. Ponadto — jak to stwierdza Objawienie — „dusze sprawiedliwych są w rękę Boga i nie osiągnie ich męka. Zdało się oczom głupich, że pomarli, zejście ich poczytane zostało za nieszczęście i odejście ich za unicestwienie, a oni trwają w pokoju” (Mdr 3,1—2). Toteż, gdy ciało do czasu zmartwychwstania spoczywa w ziemi, dusza ludzka jest „w rękę Boga”. Tam tylko bowiem panuje prawdziwy pokój.

Jeżeli przyjmuje się osobowość Boga i Ojca Syna Bożego (jak wiadomo, nie zaprzeczają jej nawet Świadkowie Jehowy), musi się również przyjąć osobowość Ducha Świętego. Pismo Św. wymienia bowiem wielokrotnie Ducha Świętego jako odrębną osobę. Powiedział bowiem Chrystus: „Idźcie tedy i nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego” (Mt 28,19). O tym, że Duch Święty jest odrębną, różną od Ojca i Syna osobą, świadczą również słowa: „Gdy przyjdzie Pocieszyciel, którego Ja wam poślę od Ojca, Duch Prawdy, który od Ojca wychodzi, złoży świadectwo o mnie” (J 15,26). Nie mogę jednak gwarantować, czy uda się Pani przekonać swoich oponentów.

Łączę pozdrowienia dla Pani i pozostałych Czytelników

DUSZPASTERZ

PORADY

Jest karnawał. W karnawale...

...wszyscy bardzo lubią bale. Wiedziała to już zacytowana Pchła Szachrajka i urządziła, jak wiadomo, bal u Szerszenia. Zapewne w czasach Pchły Szachrajki było to możliwe — dziś prawdziwych balów już nie ma, bo nawet i „bale sylwestrowe” to rarytas dla nielicznych. Większość osób bawi się w domu, w gronie przyjaciół i rodziny. Fakt ten nie przeszkadza jednak, by każda uczestnicząca w takim mikroskopiowym balu pani czuła się piękna i zadbana, aby zapomniawszy o wszelkich kłopotach i troskach dnia codziennego, odprężona i uśmiechnięta witała gości lub wybierała się do znajomych.

Przypominamy więc dziś kilka podstawowych zasad „urody na wieczór”:

— po pierwsze i najważniejsze: gdy wieczorem chcemy ładnie wyglądać, powinniśmy dzień wcześniej dobrze się wyspać i wypocząć. Menu składkowej zabawy powinno zostać wcześniej ustalone w taki sposób, by żadna z pań nie spędziła poprzedzającej nocy na pichceniu w kuchni.

— w dniu, kiedy czeka nas ten przyjemny wieczór, tak zaprogramujmy czas, aby nie spieszyć się i nie denerwować. Lepiej trzy dni wcześniej przejrzeć całą garderobę, niż w ostatniej chwili szukać w szufladzie rajstop w odpowiednim odcieniu.

— najlepiej dla własnego samopoczucia byłoby, gdyby móc na 3—4 godziny przed przystąpieniem do makijażu przygotować na twarz odpowiednią maseczkę: dla cery suchej żółtko z miodem i 3 kroplami oliwy lub dobrego oleju, dla cery wyczerpanej i tłustej — ziemniak pokrojony i rozgotowany w mleku na puree. Maseczkę nakładamy na oczyszczoną skórę twarzy na 15 minut. Czas ten wykorzystujemy

na chwilę całkowitego relaksu, najlepiej przy ulubionej, niezbyt głośnej szybkiej muzyce; wystarczy jedna strona płyty.

Kładziemy się płasko w pokoju z przygaszonymi światłami i z tamponikami waty zmoczonymi w esencji herbacianej na oczach. Myślimy o czymś przyjemnym, ale uwaga! Nie zasypiamy! Przebudzenie z miłej drzemki na pół godziny przed terminem rozpoczęcia zabawy ma skutki zupełnie odmienne od zamierzonych!

Zatem po wyznaczonych 15 minutach lub skończeniu płyty czy kasety z jednej strony zmywamy maseczkę, a twarz nawilżamy tonikiem lub płynem ziołowym. Gdy wsiąknie — nakładamy na twarz krem, ten, który najbardziej nam służy. Jego nadmiar usuniemy po 15 min. chusteczką kosmetyczną lub liginą.

— po tych zabiegach i przygotowaniu do włożenia całej toalety ze wszystkimi koronkowymi i jedwabnymi (jeśli jeszcze takie są!) detalami i biżuterią włącznie — zasiadamy do makijażu, który dzięki maseczce, tonikowi i kremowi na wypoczętej

twarzy ma szansę — mimo centralnego ogrzewania — utrzymać się świeżo przez kilka godzin.

— makijaż trzeba dopasować do typu urody i stroju, podkreślić wyraźnie to, co jest ładne, a zatuszować starannie i „upięknąć” to, co mniej ładne w naszej twarzy. Pamiętajmy jednak, że przed wieczorem, na którym nam specjalnie zależy, nie należy używać żadnych nowych kosmetyków, choćby kupionych specjalnie na tę okazję. Może się bowiem okazać, że jesteśmy uczulone na któryś z jego składników, a wtedy... O rozpaczy! Nie wypróbujemy też nowego rodzaju makijażu na godzinę czy nawet dwie przed wyjściem. Jeśli bowiem same sobie się nie spodobamy, to przy korekcie makijażu i szybko upływających minutach na pewno w ostatniej chwili rozmaże się tusz lub rozsypie puder. Najlepiej zrobić próbę generalną, łącznie z wybraniem sukni i dodatkami, na dwa dni wcześniej.

Jeszcze odrobina ulubionych perfum, sprawdzenie, czy w ostatniej chwili nie poleciało oczko i — wesołej zabawy!

— Gdzież był przez całą noc?
 — Proszę cię, odejdz... Kiedyś chora, to idź do domu.
 — Grałeś, co?... a ja sukni nie mam! Kolacji nie miałam sobie wczoraj za co kupić!...
 — Dlaczegoś nie chciała?...
 — A ty byś chciał, jak wiem! Ty byś chciał, żebym ja miała pieniądze, miałbyś grać za co... Pomagałbyś mi nawet mieć pieniądze... nikczemnik! podły!
 Rzuciła się do niego nerwowo i zajadła. Piękna, posągowa jej twarz pałała rozdrażnieniem, a z gardła zaciśniętego wydobywały się krótkie, przeciągłe syknięcia.
 Wpadła w paroksyzm hysterii: pochwyciła go za ramię, szczypała i trzęsła nim nie wiedząc sama, co robi.

Topolski, zniecierpliwiony, uderzył ją i odepchnął od siebie gwałtownie.
 Majkowska, prawie z rykiem, tak głos jej nie miał nic ludzkiego, przerywanym śmiechem i płaczem, z tragicznym załamaniem się, upadła przed nim na kolana.
 — Moryś!... kochanku duszy mojej, przebacz!... Słońce moje!... ha! ha! ha! Psiakrew, łajdak! ty!... ty... Najdroższy mój, przebacz mi!...
 Przyczołgała mu się do nóg, pochwyciła go za ręce i zaczęła je z uniesieniem całować.

Topolski stał chmurny; żal mu jej było i wstyd własnego uniesienia, więc tylko gryzł papierosa i szeptał cicho:
 — Wstańże... nie graj komedii... Chyba nie masz wstydu!... Zaraz się tutaj wszyscy zlecą...
 Przybiegła matka Majkowskiej, stara, podobna do wiedzmy kobieci; usiłowała podnieść ją z ziemi.
 — Mela! córuchno!
 — Niech matka zabierze tę wariatkę; robi tylko skandale... — rzekł Topolski i wyszedł na ogródek.
 — Córucho !... a widzisz... mówiłam, prosiłam, nie bierz go... taki fatygant! Nie umie cię uszanować i jeszcze ci tylko zdrowie niszczy, a tamten... Masz, kochanie, Melciu! Wstań, dzieciąteczko, wstań!
 — Idź matka do choroby! — zawołała Majkowska.

Odrącała starą, zerwała się z ziemi, wytarła sobie twarz i zaczęła szybko chodzić po scenie.
 Musiała w tym gwałtownym ruchu wyładować z siebie resztę złości, bo zaczęła nucić i uśmiechała się do siebie, a później zawołała do Janki najnaturalniejszym głosem:
 — Może pani pójdzie ze mną na miasto?...
 — Dobrze, nawet deszcz już przestał padać... — odpowiedziała

Janka spoglądając na jej twarz.
 — Co?! to mam soliterka... widziała pani?
 — Widziałam i ... nie mogę jeszcze stłumić oburzenia.
 — I... głupstwo!
 — Wiele już rzeczy zrozumiałam z trudem w teatrze i wytłumażyłam sobie, jak mogłam, ale takiej sceny nie potrafię. Jak to! pani możesz znieść coś podobnego?...
 — Za bardzo go kocham, aby zważać na takie bagatelki.
 Janka zaczęła się śmiać nerwowo.
 — Tylko w operetce można coś podobnego zobaczyć, no i za kulisami.

— Ba, ja się zemszczę!
 — Pani się zemści?... Ciekawam bardzo... bo ja bym nigdy, nigdy, nigdy nie darowała.
 — Wyjdę za niego... Musi się ze mną ożenić.
 — To będzie zemsta? — zawołała zdumiona Janka.
 — Nie potrzeba lepszej. Już ja mu urządzę życie! Wie pani, wstąpmy najpierw do cukierni, muszę kupić czekolady...
 — Nie miałaś pani na kolację!... — zawołała mimo woli Janka.
 — Ha, ha, toś pani jeszcze naiwna... ha, ha! Widziałas pani tego, co mi bukiety przysyła, i myślisz, że jestem bez grosza! ha! ha! Gdzież się pani i tak uchowała? to wprost pyszne!

I znowu śmiała się jak wariatka, aż się przechodnie na ulicy ogładali z nimi; zmieniła nagle ton mowy i zapytała ciekawie:
 — Masz pani kogo?...
 — Mam... sztukę — odpowiedziała Janka poważnie, nie obrażona nawet zapytaniem, bo wiedziała, że to są rzeczy dość zwykle w teatrze.
 — Jesteś pani albo bardzo ambitną, albo bardzo mądrą... nie znałam pani... — rzekła Majkowska i zaczęła przysłuchiwać się jej uważnie.
 — Ambitną, być może! bo mam tylko jeden cel w teatrze: sztukę!
 — Nie grajże pani ze mną farsy! ha! ha! Sztuka: cel życia! to motyw do pysznego kupletu, choć stary kawał.
 — Jak dla kogo...

Majkowska zamilkła; zaczęła nad czymś rozmyślać chmurnie, bo przeczuwała w niej rywalkę i do tego groźną przez swoją inteligencję.
 — Ledwim dogonił panie! — zawołał ktoś za nimi.
 — Mecenas tutaj?... nie na służbie?... szepnęła złośliwie Majkowska, bo zawsze chodził z dyrektorem.

POZIOMO: A-1) robaczek świętojański, B-8) niewielki druk reklamowy lub propagandowy, C-1) naśladowca, D-8) bankructwo, E-1) sąsiadka Algierii, F-7) gra oparta na przypadkowości, H-1) ocena, wykazanie błędów, I-7) komedia Zapolskiej, K-1) ozdoba galowych spodni. L-6) średniowieczny bard albo opera Verdiego, M-1) gra towarzyska z kamieniami, N-6) żałobne podium.
 PIONOWO: 1-A) dzień wolny od pracy, 1-H) pastorałka, kantyczka, 3-A) okazja do odśpiewania „Sto lat”, 4-K) stos, sterta papierów, 5-A) oblicze, 5-G) naczynie krwionośne, 6-K) zbocze, 7-E) stop metali, 8-A) mieszkaniec Puszczy Myszynieckiej, 9-D) mityczna rzeka zapomnienia, 9-I) rekordzista świata w skoku o tyczce, 10-A) ostrzeżenie wodniaków, 11-F) utwór muzyczny, rodzaj fantazji na tematy ludowe, 13-A) reguła, 13-H) zmienia nominał znaczka pocztowego.

Po rozwiązaniu należy odczytać szyfr (przysłowie ludowe):
 (B-9, A-4, H-11, F-12, D-3, D-11) (M-3, H-13, I-12, E-9, E-6) (N-1) (L-4, E-4, K-4, C-1, F-10, D-11).

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 3”. Do rozlosowania nagrody książkowe.

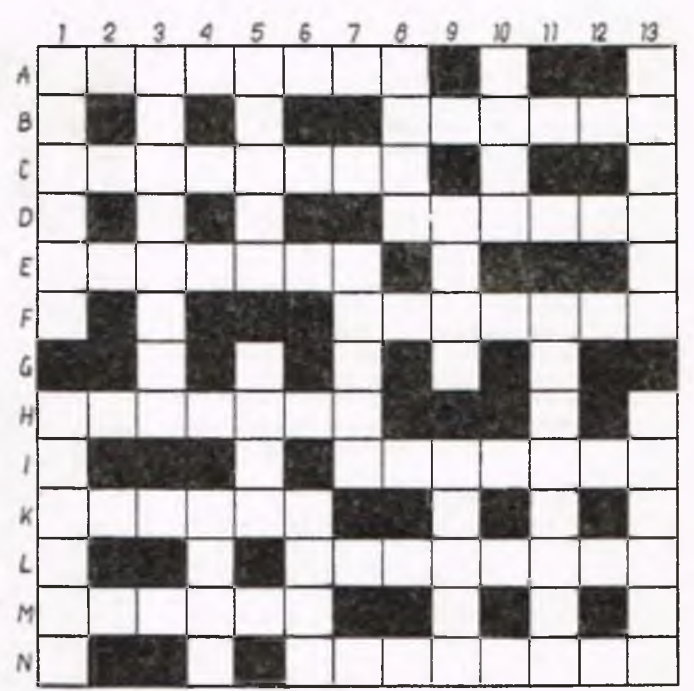
Rozwiązanie krzyżówki nr 45

„Syn jest podporą ojca, córka — ozdobą domu” (przysłowie tatarskie).

POZIOMO: Lukullus, abisał, Nałęczów, akcent, Obidowa, libacja, prządka, herbata, kimono, kosztela, lekcja, podstawa. PIONOWO: London, pikolo, kolnierz, owca, licho, zdun, okap, Allah, Sawa, Kuba, rezus, filc, Cytadela, kłątwa, Panama.

Za prawidłowe rozwiązanie Krzyżówki Nr 45 nagrody wylosowali: Irena Siwek z Przemysła i Zygryd Grzamba z Rudy Śląskiej. Nagrody prześlemy pocztą.

KRZYŻÓWKA nr 3



rodzina
 TYGODNIK KATOLICKI
 Wydawca: Spoleczność Towarzystwo Polskich Katolików, Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: ul. J. Dąbrowskiego 60, 02-561 Warszawa. Telefon redakcji: 45-04-04, 48-11-20; administracji: 45-54-93. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Cena prenumeraty: kwartalnie 260 zł, półrocznie 520, rocznie 1040 zł. Warunki prenumeraty: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”; 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-20145-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — od dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; — do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Materiałów nie zamówianych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówianych. Druk PZGRAF. Smolna 10/12. Nakład 25 000. Zam. 736. U-21.

KOMEDIANTKA

Jęcę za Amelię, gładzę za Chmarę, przeklinam za Zbigniewa, huczę za Wojewodę... Wkładam w to tyle uczucia, tyle głosu, że aż chrypnę; włosy mi powstają na głowie, drzę, zapominam, gdzie jestem, natchnienie mnie unosi, ogień bucha ze mnie, bucha jak z pieca; łyż mam w głosie, kolki z wysiłku pod piersiami, a gadam... Już Amelię przekląłem, sponiewierałem, szarpnię się z bólu i miłości; kończę akt czwartym i jak potok walę z piętym. Tragizm mnie porywa, podnosi pod sufit nieomal, pokój zaczyna mi tańcować, w oczach robi się kolorowo, brak mi już tchu — słabną, wzruszenie mnie dławia, dusza mi opada kawałami — omdlewam...

Wtem — on kichać zaczyna i łyż obciera rękawem...

Przestałem mówić.

On cebule, jaką krajał, położył, dzbanek mi w rękę wcisnął i najspokojniej mówi do mnie: „Przynies no mi wody...”

Przyniosłem.

Nalał kartofle, wstawił je na maszynkę i zapalił knot.

„Nieśmiało go pytam, czy mogę przychodzić na lekcje?”

„Przychodź, przychodź!... — odrzekł. — Zamieciessz mi, przyniesiesz wody. A umiesz ty po chińsku?...”

„Nie!” — odpowiadam nie wiedząc, do czego zmierza.

„To się naucz, a jak będziesz już umiał, przyjdź do mnie; pogadamy wtedy o teatrze!”

Wyszedłem zrozpaczony, ale mnie to wcale nie ostudziło. Chwili tej nigdy w życiu nie zapomnę...

— Nie roztkliwiaj się, na piwo już Głogowski nie poleci.

— Mówcie, co chcecie, ale tylko przez sztukę życie coś warte.

— I nie widział się pan już więcej z Rychterem? — spytała ciekawie Janka.

— Przecież nie nauczył się jeszcze po chińsku...

— Nie, nie byłem; a zresztą, jak mnie wypędzili ze szkoły, uciekłem zaraz z domu i zaangażowałem się do Krzyżanowskiego.

— Byłeś u Krzysia?...

— Cały rok chodziłem z nim, z jego żoną, z nieśmiertelnym Leosiem, jego synem, i jeszcze jedną krowiatą; mówię „chodzę”, bo innych sposobów lokomocji bardzo rzadko używaliśmy. Jeść bardzo często nie było co, ale grywać i deklamować mogłem tyle, ile tylko chciałem. Repertuar miałem ogromny. W cztery osoby grywaliśmy Szekspira i Szyllera, najcudaczniej przerobionych dla naszego użytku przez Krzysia, który prócz tego miał bardzo wiele sztuk własnych, o potrójnych i poczwórnych tytułach. Krzyżanowski sam je nosił w dużej skrzynce i nieraz na popasach mawiał klepiąc pudło: „Tu albo Szekspir, albo Molier jest polski. Bieda głupstwo, kiedy się ma zapewnioną nieśmiertelność. Leos, pamiętaj, co ojciec mówi!”

Zaczęli się wszyscy śmiać serdecznie.

Jankę dotknął przykro ten śmiech i przypomniał jej Stanisławskiego, odezwała się więc energicznie.

— Tak bardzo nie jest śmieszna nędza i poniewierka talentu.

— O tak, bratnia duszo! tak!... To był apostoł sztuki, geniusz bez całych butów i... okoliczności... Szekspir podwórzowy! Talma karczemny!... — wołał patetycznie Glas.

— Hołota! bydlę! szubrawcy! i licz aż do dwudziestu — mruzczał Głogowski, bo garderoba aż się trzęsła z wesołości.

— Jakie my z nim kumedeie puskali, jak ja miał swoją kompanię, to ha!... Wy i widzieć już takich nie będziecie! — rzekł gorzko inspicjent.

Zaczęli drwić i prześladować go tą galicyjską „kompanią”.

— Komedianty jesteście, nie artyści! — zawołał rozgniewany inspicjent i wyszedł na ogródek.

Zaczęli po kolei opowiadać najrozmaitsze kawały, bo ten temat był niewyczerpany i zawsze znajdował mówców i chętnych słuchaczy.

Deszcz wciąż padał i na świecie było coraz zimniej i posępniej, więc się skupili ściślej i opowiadali.

Wtem przerwały im głośne krzyki, dochodzące ze sceny.

— Cicho! co to?... Aha! Majkowska *contra* Topolski: scena wolnej miłości.

Janka wyszła, żeby zobaczyć co się tam dzieje.

Na scenie, prawie ciemnej, klóciła się bohatera para towarzysztwa.

— Gdzieżeś był?! — krzyczała Majkowska przyskakując do niego z pięściami.

— Daj mi spokój, Mela.

Z tym bywają nieraz problemy. Aby ich uniknąć i nie rumienić się z powodu nieopatrznie popełnionej gąfy, podajemy dziś kilka „żelaznych” zasad z zakresu wspomnianego bon tonu.

Zacznijmy od chleba. Na ogół nie toleruje on noża przy stole. Toteż jako dodatek do zup czy bigosu, o ile jest podany w kromkach, może być po prostu łamany ręką.

Chleb podany do zakąsek, na przykład wędlin, spożywamy osobno na przemian z wędliną, którą kroimy na talerzu za pomocą noża i widelca. Pieczywo natomiast spożywamy po kawałku, smarując każdy kawałek masłem pobieranym z własnego talerzyka. Taki kawałek masła bierzemy z maselniczki rozpoczynając jedzenie i kładziemy na brzegu talerzyka.

Nieco więcej swobody mamy przy spożywaniu pierwszego śniadania. Wtedy można posmarować całą kromkę masłem i jeść z ręki. Chleba z masłem również nie wypada krajać nożem. Jeśli jednak na chleb z masłem położymy wędlinę czy ser, otrzymamy kanapkę, którą można skosztować ręką, krojąc przedtem kanapkę na talerzyku na pół lub za pomocą noża i widelca jeść wprost z talerzyka.

Kanapki z „zimnego bufetu” na ogół konsumuje się bez sztućców, chyba że są zbyt duże (co w zasadzie nie powinno mieć miejsca). Wtedy, gdy jako zbyt duża „piramidka” nie mieści się w ustach, musimy uciec się do pomocy noża i widelca. Jeśli sztućce nie zostały przewidziane — trudno, spożywamy kanapkę pomagając sobie papierową serwetką.

Sandwicze, czyli „coś” w rozciętej bułce albo między dwoma kromkami chleba (najczęściej jest to parówka, szynka, serdelek) spożywany bez przyrządów. Papierowa serwetka jednak i tu jest potrzebna. Sandwicze spożywamy ujmując je obiema rękami.



Co i jak się je?

Sucharki spożywane na „domowy użytek” można moczyć w mleku czy herbacie. W większym towarzystwie mogą sobie jednak na to pozwolić jedynie osoby starsze.

Wędliny spożywamy różnie w zależności od konsystencji. I tak: kiełbasę obieramy kolejno na talerzyku nożem i widelcem. Jedynie suchą kiełbasę jemy ze skórką, podobnie parówki w naturalnej osłonce (jeśli osłonka nie jest zbyt gruba). W przeciwnym razie lepiej jest osłonkę zdjąć. Gdy parówka podana jest na gorąco, należy nakłuwać ją ostrożnie, by sok nie opryskał przy okazji naszego ubrania czy — co gorsze — sąsiada.

Pasztet — jemy krojąc go wyłącznie widelcem. Rozsmarowanie na chlebie podczas wizyty nie wchodzi w rachubę.

Jajecznicę może być spożywana w zależności od konsystencji widelcem lub łyżeczką. Jajko natomiast, o ile jest na miękko, zawsze łyżeczką, z tym, że aby odłupać wierzchołek skorupki, uderzamy kantem łyżeczki jajko z boku w sposób krótki, ale zdecydowany. Jeśli po nadłupaniu wierzchołka nie można go zdjąć, możemy się posłużyć palcami. Odłupanie wierzchołka uderzeniem noża jakkolwiek skuteczniejsze, jest jednak mniej eleganckie, toteż skorzystanie z tego sposobu zależy od sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Na wytwornych przyjęciach — nie polecam.

Zupy spożywać można z talerza lub filiżanki. Z talerza: spożywamy spokojnie (nie siorbać!) trzymając łyżkę bokiem do ust. Gdy kończymy, wcale nie przechylamy talerza od siebie, by skosztować resztki zupy. Na eleganckim przyjęciu pozostawiamy resztę zupy po prostu na dnie. W rodzinnym gronie — przechylając talerz od siebie — zjadamy wszystko. Ani jednak w trakcie jedzenia, ani po zjedzeniu zupy nie odkładamy łyżki tak, by opierała się trzonkiem na stole. Zawsze zostawiamy ją na talerzu.

Czystą zupę, na przykład czerwony barszcz, możemy z powodzeniem podać w filiżance z jednym uszkiem. Wtedy wypijamy ją tak, jak pijemy kawę czy herbatę. Jeśli jednak zupa podana jest w filiżance z dwoma uszkami, lub gdy pływa w niej groszek czy inne dodatki, wtedy spożywamy ją za pomocą łyżki, gdyż filiżanki z dwoma uszkami nie podnosi się do ust.

Kura w rosolu, by mogła być spożyta, wymaga najpierw zjedzenia rosolu, potem zaś możemy za pomocą noża i widelca „rozprawić się” z kurą.